Dublet 20998 II

REWOLUCYJNE

384351 III.

SĄDY I WYROKI.

634199 III.

RZECZ OSOBISTA

PRZEDSTAWIONA PRZEZ

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

PARYŻ I WIEDEŃ.

1866.

NAKŁADEM AUTORA.

Autor zastrzega sobie prawem niniejszą xiążkę od wszelkich przedruków i przekładów na obce języki.

71278

W Drukarni XX. Mechitarystów w Wiedniu.

74278 II
1984 - D - 21/4

Wstęp.

Każda rewolucya przygotowuje się ofiarami, żywi się ofiarami i pozostawia po sobie ofiary.

Ofiary te bywają dwojakiego rodzaju.

Jedne, uniesione świętym zapałem miłości ojczyzny i poświęcenia, rzucają się same w wir śmiertelnych zapasów, ażeby w nich złożyć na ołtarzu narodowego całopalenia życie, wolność lub mienie: drugie terrorystyczny duch rewolucyi porywa i rzuca w śmierć albo bezcześć, w ubóstwo lub na wygnanie.

Ja pierwszego rodzaju ofiarą byłem we wszystkich mojego żywota dobach, bez odpoczynku i bez odetchnienia, niosąc zawsze zarówno, a często przed wszystkimi innymi, życie do boju a wolność do więzień, mienie na ołtarz ojczyzny a pracę do szpichrza trudów narodu.

Pod koniec ostatniego powstania przyszło mi paśdź jeszcze i drugiego rodzaju ofiarą.

Wieść o procesie, wytoczonym przeciw mnie przez władze rewolucyjne we Lwowie, rozbiegła się tem szerzej i głośniej po całej Polsce, im głośniejszem było imie człowieka, który się stał przedmiotem oskarzeń i sądów.

W procesie tym zapadł wyrok w prowincyonalnej instancyi, skazujący mnie winnym i przepisujący mi karę wygnania.

Na apellacyę moją, zaraz po zapadnięciu wyroku wniesioną, Rząd Narodowy, jako najwyższa instancya, wyrok zapadły we Lwowie zniósł i skasował — a zarazem roskazał, dla roztrząśnienia tej sprawy, złożyć sąd nowy w Paryżu.

Atoli władze narodowe, następujace po sobie z upływem czasu w Paryżu, sądu takiego nie złożyły — a widząc, że z rosprzęganiem się narodowej organizacyi w kraju sądowne roztrząśnięcie tej sprawy

staje się coraz trudniejszem, doręczyły mi ostatni dekret Rządu Narodowego wraz z paszportem upoważniającym mnie do powrotu do kraju — i uznały za rzecz stósowną, na tem tę sprawę zakończyć.

Sprawa ta wszakże, mimo to wszystko, nie została ani tak roztrząśniętą, ani tak zakończoną, jak tego wymagać ja mam obowiązek i prawo.

Ani emigracyjne dzienniki, w których ostateczne postanowienia Władz narodowych ogłoszone zostały, nie rozeszły się tak szeroko, jak szeroko rozległa się wieść o zapadłym na mnie wyroku; ani też można sobie robić nadzieję, ażeby jeszcze kiedykolwiek mógł być złożonym odpowiedni sąd do roztrząśnienia tej sprawy.

W tem położeniu nie pozostało mi nic innego, jak od wszystkich wyroków i połowicznych postanowień odwołać się do tego sądu, który w każdym oświeconym narodzie stoi wyżej nad wszystkie trybunały i rządy, a który się nazywa — sądem opinii publicznej.

Wyznać tu muszę, iż odwołanie się takie wnieść mógłem już prawie od roku, bo już od roku niemasz nadziei złożenia nowego sądu przez Władze, które istnieć przestały — i już od roku upominają się u mnie o wystąpienie publiczne, tak przyjaciele moi, którzy nigdy o mnie nie wątpili, od pierwszej chwili stanęli po mojej stronie i pragną gorąco stanowczego zwycięztwa sprawiedliwości i prawdy — jak obojętni, którzy mówią: „Słyszeliśmy oskarzenia a nie słyszeli obrony“ — jak wreszcie i przeciwnicy, którzy powiadają: „Jeśliś nie winien, to broń się“.

Z tego zatem względu powinienem był głos zabrać w tej sprawie jeszcze przed rokiem.

Atoli były inne, ważniejsze względy, które mnie musiały od publicznego wystąpienia powstrzymać.

Pierwszym z nich był ten, iż jakkolwiek Władze narodowe przestały istnieć, tak w kraju, jak nareszcie i za granicą, pozostali jednakże ludzie, którzy sprawowali te władze, ludzie ci sami, którzy mnie oskarzali, na sąd wydawali i ogłaszali wyroki i postanowienia w tej sprawie. Otóż niektórzy z tych ludzi, bądź wiedząc z góry, jak niesprawiedliwe były wniesione przeciw mnie oskarzenia, bądź przyszedłszy z czasem do tego przekonania, nosili się jeszcze ciągle i aż do ostatnich dni z zamiarem już-to zwołania jakiegoś sądu, już wydania jakiejś deklaracyi zbiorowej, wyjaśniającej ile możności a w każdym razie ostatecznie kończącej tę sprawę. Zakończenie takie należało mi ze wszystkich względów przenieść nad wystąpienie publiczne i osobiste.

Drugim zaś względem był ten, iż występując publicznie w tym celu, ażeby sprawę tę przedstawić jasno i oddać pod sąd całej powszechności, a przeto po największej części ludzi takich, którzy wcale nie byli wtajemniczeni w podziemne roboty rewolucyjne, nie podobna

mi powoływać się ani na urzędy, których atrybucye i stanowiska w organizacyi nie są każdemu znane, ani też na niewiadomych urzędników i sędziów. Jeżeli niesumienność, lekkomyślność albo niedbalstwo rewolucyjnych zawiadowców administracyi i sądownictwa doprowadziły mnie do tej ostateczności, że muszę się sam, że tak powiem, rozebrać do naga przed opiniją publiczną, toż muszę zarazem i ich pierś nagą odsłonić przynajmniej o tyle, o ile się nią dotykali tej sprawy. Otóż wzgląd na to, ażebym bliższem określeniem niektórych spraw tajnych i wymienieniem niektórych osób nie stał się powodem do wykrycia rzeczy dotychczas nieznanych lub skompromitowania ludzi dotychczas swojego losu niepewnych, nakazywał mi jeszcze aż dotąd to wystąpienie publiczne odraczać.

Jednakże dzisiaj już obadwa te względy ustały.

Wszystkie zamiary złożenia jeszcze jakiegoś sądu lub komitetu spełzły stanowczo na niczem.

Równocześnie została ogłoszoną zupełna dla Galicyi amnestya, skutkiem której wszelkie śledztwa wypadków odnoszących się do ostatniego powstania na zawsze zostały zamknięte.

Jeżeli dotąd mogłem tylko przypuszczać, że tych, którzy bądź jako oskarzyciele, bądź jako sędziowie, wzięli udział w tej sprawie, za to, że takiego człowieka, który przez całe życie pracował i cierpiał dla lepszej przyszłości narodu, na jego patriotycznem stanowisku zachwiali, żaden rząd do odpowiedzialności pociągać nie będzie: to przypuszczenie to stało się teraz pewnością.

Mam przeto zaspokojenie zupełne, że moje wystąpienie publiczne dzisiaj już w obec władz istniejących nikomu szkodzić nie może.

Dzisiaj istnieje już tylko odpowiedzialność przed opiniją publiczną. A pod tym względem nie moją rzeczą troszczyć się o to, jakie z tego odwołania się do opinii publicznej dla mnie lub dla kogo innego skutki wynikną. Ja czekałem cierpliwie dwa lata, trując się kropla po kropli tem morzem goryczy, które mi do wypicia podano; wyczerpując jeden po drugim wszystkie sposoby i środki, które powinny były moich oskarzycieli i sędziów do naprawienia tej krzywdy zniewolić; powstrzymując się wreszcie od ostatecznego kroku najsubtelniejszemi względami nawet i na tych, którzy dla mnie żadnego względu nie mieli. Zostawiłem im zatem aż nadto czasu do stanowczego zakończenia tej sprawy.

Jeżeli jej nie skończyli, to nie moja, ale ich wina.

A przeto dziś, robię to, com powinien — a Bogu poruczam opiekę nad tem, co będzie.

I.

Tajemnicza ta sprawa, której niniejszą xiążkę poświęcam, nie składa się z jednego lub kilku ściśle określonych i w sobie zamkniętych faktów, ale predstawia się jako węzeł z tysiąca drobnych wydarzeń, okoliczności i kabał złożony, i silnie ze sobą splątany.

Ująć ten węzeł znienacka i rostoczyć go jednym zamachem pióra, jest niepodobna — a to tem mniej, ile że niejedna z tych nici, której końce się w nim zbiegają, ukrywa swoje nawiązki w innych czasach i innych zdarzeniach. Nim przeto przystąpię do rostoczenia właściwego tej sprawy obrazu, sądzę, iż powinienem w krótkich przynajmniej rysach określić to stanowisko, jakie od początku zajmowałem w tym ruchu, z którego się później wywiązało powstanie.

Polityczny ruch polski, który się skończył zbrojnym wybuchem, przygotowywał się niemal jednocześnie we wszystkich polskich prowincyach. Ożywiona na nowo propaganda narodowa zaczęła się w Krolestwie już w r. 1856 i wkrótce udzieliła się Litwie i Krajom Zabranym; Poznańskie dało znak życia już w r. 1858; z początkiem r. 1860 zaczęła się budzić Galicya. Pierwsze objawy tego zbudzenia we Lwowie, czy je poruszyły powiewy ducha zalatujące z Kijowa, czy z własnych się roznieciły popiołów, w tym charakterze, w jakim się przedstawiły, nie były, według mojego zdania, odpowiednie ani potrzebom kraju, ani potrzebom narodu. Rospatrując się pilnie w politycznem znaczeniu owoczesnych dziennikarskich wyskoków, widziałem w nich jawnie ten nastrój umysłów, jaki cechuje zwykle wszystkie społeczne i narodowe prądy ludzkiego ducha, wyrywające się gwałtem z więzów długoletniego spowicia, i dążące na oślep, niepowstrzymaną siłą rozkiełzanego żywiołu, do wzburzeń gwałtownych i rospaczliwych wybuchów.

Nie przesądzając wówczas bynajmniej, jak dalece politycznie rozumne lub koniecznością wskazane cele może mieć taki ruch w obrębach rossyjskiego Cesarstwa, byłem jednakże przekonany najgłębiej, że w Galicyi niema on żadnego rozumnego celu przed sobą, dobrze zrozumiane interesa prowincyi musi koniecznie skrzyżować a w danym razie i całej sprawie polskiej zaszkodzić, bo może Austryę, dla której każdy ruch w Polsce przynajmniej jest obojętnym, do zsolidaryzowania swojej polityki z rossyjską zniewolić. Prócz tego, owoczesne zbudzenie się dziennikarstwa we Lwowie miało na sobie cechę dla każdego wyższego umysłu nie-

zmiernie wstrętnej płaskości, bo rozlało około siebie całą kałużę błotnistych potwarzy i oszczerstw, wylewając publicznie swoje żółciowe wymioty na ludzi powszechnie uznanej zasługi i sławy, a rozsiewając tajemnie, że oszczerstwo i potwarz nie jest tu celem, tylko środkiem do agitacyi. Całe to zatem ówczesne zbudzenie się miało cel co najmniej bardzo wątpliwy a walczyło tak nieszlachetnemi środkami, jakiemi nigdy żadnego godnego celu osięgnąć nie można. Przeciwko takiemu kierunkowi zbudzenia się powstać publicznie a nawet i siebie samego poświęcić, ażeby głośne *Veto* założyć, miałem sobie za obowiązek. Jakoż już w lecie r. 1860 ogłosiłem byl przeciwko wyż wspomnionym zboczeniom tego budzenia się protest w formie powieści, której dałem tytul „Żydowscy“ — i potępiłem w niej stanowczo i taki ruch ślepy i takie środki walczenia, a wskazałem cele szlachetniejsze i wyższe, drogi proste i środki godziwe. Jednocześnie powziąłem był zamiar założenia politycznego dziennika we Lwowíe i podałem bez zwłoki o koncesyę do rządu.

Wkrótce potem, zda mi się pod koniec lata, niektórzy obywatele krajowi, widząc zapewne także bezcelowość i niebespieczeństwa rospoczynającej się tego rodzaju agitacyi, powzięli byli taki sam zamiar i podali także o koncessyę na dziennik. Podobieństwo przekonań i osobiste stosunki zbliżyły te obadwa zamiary do siebie a w skutek wzajemnego porozumienia stworzyły w miesiącu Wrześniu ustalony już projekt wydawania z poczęciem nowego roku nowego politycznego dziennika, którego naczelna redakcya mnie powierzoną została. Po odbytych przygotowaniach i odprawionych przezemnie w tym celu podróżach, dziennik ten, pod nazwą „Głos“, okazał się z początkiem roku 1861 na widowni publicznej.

II.

O tym dzienniku, lubo istnienie jego trwało tylko kilka miesięcy, było wiele mowy swojego czasu. Prócz tego, dziennik ten, którego zamiarem było wprowadzenie w życie pewnych zasad politycznych, nadał mnie pewną barwę polityczną a wywoławszy pierwsze stanowcze starcie się różniących się między sobą przekonań, określił dość ściśle moje stanowisko w obec agitacyjnego stronnictwa. To owoczesne starcie się moje z zwolennikami zasad bezwzględnych, utworzyło pewną grupę ludzi stanowczo mi nieprzychylnych, usposobiło przeciwko mnie znaczną część opini powszechnej i ułatwiło później wzniecenie przeciw mnie takich nawet podejrzeń, które w innym wypadku nigdyby się były przyjąć nie mogły. Z tego względu potrzebnem jest, abym tu równie dokładnie określił moje ówczesne czynności, zasady i cele.

Gruntownie mylnem było niemal powszechne wówczas mniemanie, jakoby „Głos“ miał arystokratyczne i ściśle zachowawcze dążności.

W grono jego założycieli weszły wprawdzie niektóre arystokratyczne i zachowawcze żywioły; w jego program nawet weszły dwa paragrafy takie, które trąciły przestarzałemi pojęciami a których wykluczenia przeciwnicy takowych przeprzeć nie mogli. Ale dziennik sam był nie tem, czem go ci albo owi z założycieli, lub też te albo owe paragrafy programu mieć chciały, tylko tem, czem go zrobili ci, którzy przeważne wywierali nań wpływy. Wiadomo zaś jest powszechnie, że na każdy dziennik, pomimo wszystkich rad nadzorczych lub redakcyjnych, zawsze najprzeważniejsze wpływy wywiera ten, który prowadzi jego redakcyę. Stąd poszło, że „Głos“, pomimo może istotnie arystokratycznych i zachowawczych dążności niektórych z jego założycieli, nie był ani arystokratycznym, ani też zachowawczym.

„Głos“ nie był wcale przeciwnym politycznemu ruchowi w Polsce — a jak naturę pierwszego a drugiej granice pojmował, to zaraz w pierwszych numerach określił. Ale był on stanowczo przeciwnym rewolucyjnemu ruchowi a nawet i agitacyi w Galicyi, bo był przekonanym, że agitacya prowadzi do tajnej organizacyi, organizacya wzburzonych umysłów do rewolucyi, a rewolucya bez sił odpowiednich tylko do klęski. „Głos“ zatem pragnął: ażeby się ruch polityczny w prowincyach polskich, żyjących pod berłem rossyjskiem, rozwijał ile możności jaknajspokojniej dalej i ażeby zniewolił nareszcie rząd Petersburgski do przyznania tymże prowincyom jaknajobszerniejszych koncessyi — a dla Galicyi żądał autonomicznej administracyi, zastosowanej do wymagań postępu a zarazem do stopnia rozwiniętych moralnie sił kraju. Program polityczny co do Galicyi ogłosił ten dziennik zaraz w swym pierwszym numerze i pozostał mu wiernym przez cały czas swego istnienia.

Program ten musiał zapewne być trafnym i ułożonym z dokładną znajomością rzeczywistych potrzeb krajowych, bo dziś, kiedy nadeszły czasy trzezwiejszego zapatrywania się na polityczne stosunki i potrzeby społeczne, tenże sam program, bez żadnej zmiany, przyjęły nietylko wszystkie dzienniki lwowskie, ale przyjął go także kraj cały i jako cel swoich dążeń publicznie ogłosił. Co większa, dzisiaj dzienniki lwowskie posunęły się w politycznej rostropności jeszcze o wiele dalej — a co jeszcze większa, bardzo wielu z tych ludzi, za których przewodem program kierowanego przezemnie dziennika ogłoszono podówczas za arystokratyczny i zachowawczy, ba nawet za wsteczny i zgubny, bardzo wielu z tych ludzi poprzechodziło dziś jawnie do rządowych obozów. Gdyby dziś „Głos“ wychodził we Lwowie w duchu swojego owoczesnego programu — a gdyby jeszcze kiedykolwiek wychodził, pewnieby ani jednej joty ze swego programu nie zmienił, — to-by się znalazł na skrajnej lewicy tamtejszej prasy periodycznej i byłby najpatriotyczniejszym i najwolnomyślniejszym ze wszystkich lwowskich dzienników.

Lecz wówczas program ten nie podobał się agitacyjnemu stronnictwu, które też uderzyło nań z gwałtownością aż po te czasy bezprzykładną w historyi publicystyki polskiej.

Albowiem, nim jeszcze dziennik zaczął wychodzić, na trzy miesiące przed ogłoszeniem jego programu, jedno z ówczesnych pism literackich rostoczyło cały szereg najzłośliwszych paskwilów, wymierzonych przeciwko domniemanym nieistniejącego pisma założycielom, a jeden z politycznych dzienników rozwinął najzapalczywszą tyralierkę przeciwko domniemanym jego zasadom. Jednocześnie rozniecono pokątną, uliczną i kawiarnianą, pisemną i ustną agitacyę, tak przeciw samemuż pismu, jak szczególnie przeciwko wchodzącym do jego składu osobom — i nie było ani tak zuchwałego kłamstwa, ani tak brudnej plotki, ani tak plugawego oszczerstwa, przed któremby się ci agitatorowie byli wzdrygnęli. A że mnie miano za głównego twórcę i za główną tego dziennika podstawę, więc cała ta powódź agitatorskich kabał, głównie się na mnie wylała.

W społeczeństwach, które mocą rozwiniętej oświaty przyszły do świadomości swych politycznych przekonań, nigdy zapasy stronnictw nie zniżają się na błotnistą arenę osobistych napaści; nigdy garstka brukowych agitatorów nie zterroryzuje całej opinii publicznej: zawsze przynajmniej jakaś część ogółu niezawisłe i własne zachowa zdanie —i zawsze przynajmniej ta część, gdy się przekona, że napaść na osobę albo stronnictwo nie miała słusznej podstawy, obudwom walczącym ze sobą stronom jawnie i głośno sprawiedliwość wymierzy. Lecz w społeczeństwach innych dzieje się inaczej. „Głos“ w krótkim czasie dowiódł faktycznie, że podejrzenia przeciwko niemu rzucone nie miały żadnej podstawy. „Głos“ z rospoczęciem manifestacyi warszawskich okazał pierwszy, jakie jest ich polityczne znaczenie, a kiedy inne dzienniki lwowskie traktowały te ważne zdarzenia nieledwie tak, jakby jaką burdę uliczną wynikłą w Jassach lub w Bukareszie, on jeden dopatrzył w tych pierwszych objawach początku wielkiego dziejowego dramatu i postawił od razu całą sprawę polską jako kwestyą już rospoczętą i domagającą się rozwiązania. Dziennik ten z takiem samem pojęciem prawdy rozwijał tę sprawę aż do końca swego istnienia. Wszelako w obec opinii publicznej, burzonej ciągle przez agitacyę pokątną, nie wiele mu to pomogło.

A kiedy po sześciomiesięcznych nieustających zapasach z rządową prokuratoryą z jednej a z koteryą agitacyjną z drugiej strony, przyszło mi w chwili krytycznej rzucić i dziennik i siebie na stos ofiarny i pójść do więzienia: wątpię, a przynajmniej nigdy nie słyszałem, ażeby, krom moich bliższych przyjaciół, towarzyszył mi wyraz publicznego spółczucia i żalu do tego żywego grobu. Despotyczna wyłączność agitacyjnego stronnictwa, narzucająca się terrorystycznemi środkami całemu

ogółowi kraju, umiała już wówczas tak dalece opętać większość opinii publicznej, że jeszcze w więzieniu uważano mnie jako przewodnika dążności sprawie powszechnej szkodliwych.

III.

Zwykła większości umysłów polskich lekkość w sądzeniu spraw choćby najbliżej ją obchodzących i z powszechnej nieoględności pochodząca pochopność do powtarzania pierwszego lepszego zdania, które jej ktokolwiek narzuci, sprawiła to, iż opinija publiczna nigdy nie zrozumiała trafnie ani powodów, ani okoliczności, jakie towarzyszyły zabiciu „Głosu“. To co wówczas powtarzano powszechnie i co jeszcze dziś nieraz słyszę o tym wypadku, jest albo zupełnie mylnem, albo zaledwie zbliżonem do prawdy. Tak przedewszystkiem fałszem jest całkowitym, jakobym ja z umysłu zabił ten dziennik, w tym mianowicie zamiarze, ażeby skończyć zaszczytnie, a z tego powodu, że środki tego przedsiębiorstwa zostały wyczerpnięte przedwcześnie a dalsze jego istnienie było już niepodobnem. Fałszem jest również, jakobym ową „Odezwę mieszkańców miasta Warszawy“, za którą mnie uwięziono i dziennik zamknięto, umieścił był tylko z woli i pod naciskiem X. Adama Sapiehy a przeto padł nieświadomą obcego czynu ofiarą.

Że założyciele tego dziennika nie dopełnili swych zobowiązań, tego niestety nie mogę zaprzeczyć. Zerwali się oni z wielkim ferworem do utworzenia politycznego organu: ale ten ferwor zgasł niemal prędzej, niż się zapalił, a dziennik nie znalazł w swych twórcach tak statecznego oparcia, na jakie rachować miał prawo. Powodem tego zachowania się założycieli nie był bez wątpienia ani brak patriotyzmu, ani też brak gotowości do ofiar, o co w Polsce nie można posądzić żadnej warstwy społecznej; lecz była nim ich polityczna niestrojność i brak odwagi cywilnej, która niestety omdlewała tem więcej, im więcej trudności spotykał dziennik na drogach swego dalszego rozwoju. Cóżkolwiekbądz, grono założycieli w przeważającej części już dosyć wcześnie rosprzęgło się pod wszystkiemi względami i nie było tej siły, któraby je sprządz była zdołała — a kiedy przedsiębiorstwu przyszło runąć pod zewnętrznemi ciosami, to wszystkie straty materialne z upadku wynikające, spadły na X. Adama Sapiehę i na mnie, jako na dwóch ostatnich, którzy wywieszonego przez się sztandaru nie opuścili do końca. To wszystko prawda.

Lecz w chwili tej, kiedy dziennik został zabitym, nie był on wcale niepewnym swojej przyszłości. Albowiem kiedy pod koniec Czerwca już bylo rzeczą widoczną, że założyciele nie dotrzymają, znalazło się trzech między nimi, którzy cały ciężar tego przedsiębiorstwa

wzięli na siebie, i mieli wolę i środki po temu, aby je nadal utrzymać. Krytycznego położenia zatem z powodów materialnych wcale nie było.

Co się zaś tyczy umieszczenia „Odezwy mieszkańców miasta Warszawy“, to ta rzecz miała się także inaczej. Odezwa ta miała wcale inne polityczne znaczenie, niżeli jej wówczas powszechnie przypisywano. Odezwę tę pisał Marcin Borelowski Lelewel, a przynajmniej on jej ogłoszenie wywołał — a przeznaczeniem jej było: ostrzedz powszechność polską przed niewczesnemi zamiarami powstania, wypowiedzieć głośno i jawnie, że do zbrojnego wybuchu niemasz ani sił, ani dostatecznego przygotowania, że wybuch niewczesny może tylko kraj zgubić, że jedynem zadaniem kraju na teraz jest praca spokojna, tworząca i organizująca siły moralne i materialne narodu — a zbrojny wybuch należy zostawić dalszej przyszłości i szczęśliwszym okolicznościom. Takie były owczesne przekonania Lelewela i licznych jego stronników.

Ja Odezwę tę otrzymałem z Warszawy natychmiast po jej ogłoszeniu. Przypadała ona nadzwyczaj ściśle do moich przekonań. Jakoż postanowiłem zaraz po jej odczytaniu wydrukować ją w moim dzienniku; lecz wiedząc dobrze, na jakie niebespieczeństwa mogłoby jej wydrukowanie dziennik narazić, postanowiłem zarazem, albo zaczekać, dopóki jakaś okoliczność beskarnego jej wydrukowania nie umożliwi, albo taką osłaniającą okoliczność sztucznie sprowadzić. To też naówczas nawet nie pokazałem jej radzie nadzorczej. Kiedy zaś w kilkanaście dni potem z wstępem już napisanym przezemnie i ze Szląską Gazetą w rękach, która tymczasem tę Odezwę w przekładzie przyniosła, przedłożyłem ją radzie nadzorczej, to zapewne że X. Sapieha wraz z całą radą nadzorczą oświadczył się za jej wydrukowaniem, ale moje własne postanowienie było już wcześniej powzięte — a przeto nie było ono wynikiem ani czyjegokolwiek na mnie nacisku, ani nawet cudzej inicyatywy. Tak się ta rzecz miała w rzeczywistości.

Rząd owoczesny, jak nie rozumiał politycznego stanowiska „Głosu“, tak nie zrozumiał także politycznego znaczenia tej Odezwy — i jak zawsze dziennikowi przypisywał rewolucyjne dążności, tak i ten objaw przeciw-rewolucyjny wziął za postępek rewolucyjny. Skutkiem takiego położenia rzeczy dziennik został zabitym a mnie wytoczono proces o zbrodnię stanu.

Wkrótce po mojem uwięzieniu, bądz że chodziło więcej o zabicie dziennika, niżeli o prześladowanie człowieka, bądź w tem rozumieniu, że nietylko ja sam, ale także i inni spowodowali ogłoszenie tej Odezwy, których ja jednak sobą zakryłem i do których przeto sąd nie mógł przystąpić, dano mi do zrozumienia, że jeżeli tylko podam o uwolnienie, zostanę bez zwłoki wypuszczonym z więzienia. Atoli inne było naówczas polityczne położenie Galicyi, tak ze uzględu na rozwój sprawy

polskiej w królestwie, jak i ze względu na zasady górujące w ministerium wiedeńskiem. Prócz tego, zdawało mi się, iż stając do odpowiedzialności za pewne polityczne zasady, nie zastępuję siebie samego, lecz jestem reprezentantem pewnego politycznego sztandaru, który być może złamanym, ale którego mi ugiąć nie wolno. Nareszcie — bo i to coś znaczy w cierpieniach — miałem to piękne złudzenie, że temu brzemieniu bolów, które wziąłem na swoje barki, przynosi ulgę towarzyszące mi po za murami więzienia spółczucie. Poszedłem przeto pod sąd, przyjąłem wyrok i siedziałem w więzieniu półtora roku.

Dopiero wtedy, kiedy śmierć mojej matki, którą nad wszystko kochałem, rosprzęgające się coraz bardziej interesa majątkowe i wracająca dwukrotnie febra żółciowa, do najwyższego stopnia wyczerpały me siły — i kiedy prócz tego było rzeczą widoczną, że uwięziony nie przynoszę, ani odnoszę żadnego pożytku, a uwolniony, przy rozwijających się coraz szerzej narodowych działaniach, mogę przynieść choć jakikolwiek pożytek: dopiero wtedy podałem o uwolnienie i dnia 8. Grudnia wyszedłem z więzienia.

Otóż nawet w tym czasie, kiedy ulegałem tak srogim prześladowaniom zewnętrznym i kiedy samo uczucie przyzwoitości powinno było nakazywać poszanowanie dla cierpień, przyszło mi jeszcze niejednokrotnie najprzykrzejszych doznawać wrażeń z tej właśnie strony, z której powinienem był się takowych jaknajmniej spodziewać. Nie dosyć bowiem, że oprócz kilkunastu osobistych przyjaciół nie widziałem nikogo trwającego pod owym politycznym sztandarem, za który świadomie i dobrowolnie cierpiałem: lecz polityczna swawola nie wzdrygała się jeszcze w więzieniu dosięgać mnie paskwilami — a kiedy wyszedłem z więzienia, jedyny dziennik polityczny, jaki podówczas wychodził we Lwowie, nie umiał mnie powitać inaczej jak tylko uszczypliwym przycinkiem.

Wypowiedziane przezemnie w „Głosie“ polityczne zasady, poświęcenie siebie samego za te zasady a wreszcie poniesione cierpienia, znalazły głośne uznanie i rozliczne objawy spółczucia w dziennikarstwie francuskiem, angielskiem, niemieckiem i włoskiem. Wspomnienia te sporządziły mi jeszcze w dwa lata później przyjazne uważanie w tych kołach. Ale w własnej ojczyźnie, nietylko że o żadnem uznaniu nigdy mowy nie było, lecz duch publiczny był już naówczas tak wyłącznie sprawą publiczną zajęty a na losy jednostek tak obojętny, że nawet nie umiał skarcić tak rospasanej swawoli.

IV.

Sądzę, że przecież nikt nie zechce mnie podejrzywać, jakobym chciał tutaj z tego powodu jakiekolwiek rostaczać skargi. Wyznaję z głębi serca, że nie miałem i nie mam o to żadnego żalu. Któryż-to człowiek, którego głos jego wewnętrzny powołał do służby około dobra narodu, może o tem nie wiedzieć, że społeczeństwa „mordują nawet swoich proroków“ a nie dopiero sługi tak maluczkiego znaczenia? Kogóż ten grzech pierworodny wszystkich tej ziemi społeczeństw potrafi zachwiać w jego zawodzie? Któż nie jest na to z góry przygotowanym, że za pracę w narodowej winnicy nie masz gdzieindziej nagrody, jak tylko we własnem sumieniu? — Toż tylko ze wstrętem wspominam tu o tem a wspominam tylko dlatego, ażeby tym, którzy o tem wiedzieli, przypomnieć, a tym, którzy nie wiedzieli, powiedzieć, że uprzedzenia, niechęci i nienawiści, rozbudzone przeciw mnie przez dziennikarskich krzykaczy, aż do owego czasu się zachowały; stronnicze te żary może wówczas po części przysypały popioły, ale pod popiołami tlało zawsze jeszcze nieugaszone zarzewie.

Nie zwracałem na to wszakże żadnego względu — i jakkolwiek jeszcze opuchły od wilgoci więziennej i potrzebujący koniecznie spoczynku, stanąłem bez odetchnienia w szeregu tych, którzy podówczas zajmowali się sprawą publiczną.

Było to w grudniu r. 1862.

Miałem jeszcze podówczas niepozrywane stosunki z Warszawą, które nawiązałem był w r. 1860. Stosunki te były lepsze i bliższe, niżeli je miał ktokolwiek wtedy we Lwowie. Mógłem sobie przeto zrobić w bardzo krótkim przeciągu czasu prawdziwe wyobrażenie o tem, co jest i czego się można spodziewać.

Niezadługo też przyszedłem do przekonania, że wybuch gwałtowny, prędzej lub pózniej, ale koniecznie musi nastąpić.

Moje zapatrywanie się na ówczesny stan sprawy polskiej było następujące:

Kierownicy ruchu narodowego popełnili błąd oczywisty. Albowiem będąc na scenie walki moralnej niezaprzeczenie silniejszej od Rossyan a przeto mając w tej walce niezaprzeczoną pewność zwycięstwa, dali się zepchnąć na pochylisko, z którego się muszą ześliznąć na pole walki orężnej — a skutek walki takiej zdawał mi się co najmniej nadzwyczanie wątpliwym. W zwycięztwo Polski nad Rossyą w walce orężnej nie mógłem już z tego powodu uwierzyć, iż wiedziałem lepiej od wielu innych, że kraj, cokolwiekbądź o tem wówczas mówiono, nie był wcale przygotowanym do zbrojnego powstania i że zorganizowanie

jakichkolwiek sił zbrojnych musiało w położeniu ówczesnem niezwalczonym ulegać trudnościom. A gdyby nawet powstaniu udało się zpoczątku zwyciężać częściowo Rossyan i oswobodzić jakiś ograniczony kawałek ziemi, to jeszcze zawsze pozostawała smutna konieczność liczenia nietylko na pomoc obcą, ale co gorsza, liczenia na pomoc nagłą, bo nawet po odniesionych zwycięztwach pomoc powolna mogła być łatwo zapoźną. Kto zaś patrzał niezamglonemi oczyma na owoczesny stan Europy zachodniej i widział silne już wtedy naginanie się Francyi przez Prusy ku Rossyi, ten nie mógł żadną miarą taić przed sobą, jak świetnych na to potrzebaby zwycięstw i jak stanowczej i nagłej zmiany polityki w Austryi, ażeby interwencya zbrojna przyjść mogła do skutku i aby stanęła zawczasu na ziemi polskiej. W takiem zestawieniu widoków — a inne dla trzezwo myślącego człowieka nie było możebnem — należało zbrojne powstanie Polski uważać jako krok niesłychanie hazardowny i mogący prawdopodobniej sprowadzić jaknajwiększe nieszczęścia i klęski, niżeli pociągnąć za sobą jakiekolwiek polepszenie politycznego i narodowego istnienia.

Ale kość już była prawie rzucona natenczas. Jak skoro takzwana „Dyrekcya biała“ nie miała tyle moralnej siły i tyle cywilnej odwagi, ażeby przeciwko dalszemu rozwojowi ruchu w rewolucyjnym kierunku stanowcze i niecofnione założyć Veto i złamać go rzeczywiście: to wszelkie poźniejsze tamowanie i powstrzymywanie powstania było takim samym, z niektórych względów nawet daleko gorszym błędem politycznym, jak samo podniesienie zbrojnego wybuchu. Jedynym naówczas ratunkiem, jedyną polityką równie rozumną, jak patryotyczną, było jaknajsilniejsze i jaknajogólniejsze poparcie powstania, ażeby ten płomień niepewny jaknajjaśniej rozgorzał, jaknajwiększe przestrzenie kraju ogarnął, jaknajwyższe możliwe zeń siły wydobył i jaknajgłośniejsze na razie poodnosił zwycięstwa: bo tylko takiem rozgłośnem i gwałtownem wstrząśnieniem można było i lud pociągnąć za sobą, i imponującą w obec nieprzyjaciela zdobyć dla siebie postawę, i skłonne do interwencyi mocarstwa, w krótkim przeciągu czasu do czynu zniewolić.

Takie było moje zapatrywanie się na sprawę powstania w obrębie rossyjskiego cesarstwa, zapatrywanie się, wyrobione jeszcze przed wybuchem powstania i już naówczas dość głośno przezemnie wypowiadane.

Atoli wcale inaczej zapatrywałem się na stanowisko Galicyi w obec powstania.

V.

Są ludzie, rewolucyoniści z zasady, którzy jakąś przyszłość dla Polski opierają na tym widoku, że Austrya za pomocą Włoch, Węgier i południowych plemion słowiańskich, zostanie rozbitą. Nie dziwię się wcale, że do tak idealnej mrzonki modlą się rewolucyoniści z zasady, którzy sprawę polską kojarzą ze sprawą rewolucyi powszechnej i drogą zniszczenia wszystkich państw zachowawczych chcą zmierzać do Polski: są to bowiem ludzie, wiekowym ideom służący i może w świecie teoryi wyżsi od myślicieli zwyczajnych, lecz, jak wiadomo, wcale nie-polityczni. Ale nie mogłem nigdy wyjść z zadziwienia, ilekroć mi się zdarzyło spotykać ludzi politycznych. t. j. takich, którzy biorą sprawy publiczne w ich położeniu istotnem i wytykają dla nich drogi i środki, nie na przestrzeni całych stuleci, tylko w obrębach i warunkach teraźniejszości, a wpadających także w tor szeregowania tak fantastycznych widoków.

Z politycznego zapatrując się stanowiska, nie masz kombinacyi złudliwszej i niedorzeczniejszej. Bo najpierw: gdyby się to istotnie kiedyś stać mogło, ażeby Włochy z Węgrami i południowemi Słowiany uderzyły na Austryę, to jużciż do takiej wojny Rossya z pewnością dostarczyłaby karabinów i prochu: a jak skoro taki sprzymierzeniec nie zostałby odrzuconym, za co w imieniu wszystkich Pepolich, Kossuthów i Obrenowiczów, można z góry zaręczyć, to w cóżby się wtedy obrócić musiały wszystkie widoki dla Polski? — Powtóre, taki sojusz wyżwymienionych żywiołów w celach rewolucyjnych jest wprost niemożebnym — i trzeba bardzo niskie mieć rozumienie o politycznej mądrości Austryi, ażeby przypuszczać, iżby wiązania się jego nie potrafiła rosprządz zawczasu. Jakoż jest politycznym pewnikiem, że Austrya, choćby się uwikłała w wojnę z Włochami, to takową jaknajściślej zlokalizuje — a nigdy się w nią uwikłać nie da, jeśli nie będzie pewną zupełnego spokoju w Węgrzech. Drugą równie pewną jest rzeczą, że w politycznym programie Węgier nie leży bynajmniej dążność odrywania się od Austryi, a to dlatego, iż autonomiczne istnienie tego narodu nigdzie indziej nie jest możebnem, jak tylko przy Austryi. Te wreszcie siły wojenne, któreby się mogły rostoczyć od Czarnych gór aż po Kossowe pole, nie przedstawiają w żadnej kombinacyi politycznej czynników takich, jakich potrzeba, ażeby wstrząść podstawami pierwszorzędnego militarnego mocarstwa. Toż ogólności osobliwszą to jest ideologiją, ażeby widoki uzyskania niepodległości dla Polski opierać na dziecięcym śnie o rozbiciu takiego państwa, którego nie potrafiły rozbić niezwyciężone armije napoleońskie i które dopiero przed kilkunastą

laty z wojny węgierskiej i włoskiej i z rewolucyjnego pożaru w wszystkich swoich prowincyach wyszło z triumfem zupełnego zwycięstwa. Gdyby Polska musiała czekać na odtworzenie swojego bytu, aż póki Austrya nie zostanie rozbitą, to niewiem zaprawdę, ażeliby go potrafiła doczekać.

Ja nigdy nie podzielałem tego sposobu widzenia rzeczy.

Moje zapatrywanie się na stanowisko sprawy polskiej w odniesieniu do Austryi było nastepujące:

Jedynem mocarstwem europejskiem, dla którego zniszczenie żywiołu polskiego nie może być obojętnem, jest Austrya. Jest ona bowiem tem państwem, które przed wszystkiemi innemi jest zagrożonem przez zaborczą politykę Rossyi, a to o tyle jeszcze więcej od innych, ile że w własnem swem wnętrzu posiada plemiona słowiańskie, mniej albo więcej, świadomie lub nieświadomie, lecz w końcu końców stanowczo, bo samem prawem naturalnej attrakcyi ciążące ku Rossyi.

Austrya tedy jest musem politycznej konieczności zniewoloną do tego, ażeby żywioł polski utrzymywać przy życiu, bo w tym żywiole będzie mieć zawsze zaporę moralną przeciwko Rossyi, a w danym razie tylko z tego żywiołu może utworzyć zaporę fizyczną. Jeżeli przeto jest jakie mocarstwo na świecie, które w danych okolicznościach może, a jak mi się zdaje, to nawet musi się znaleźć w nieodpartej żadnemi innemi środkami konieczności stworzenia autonomicznego istnienia dla Polski, to tem mocarstwem jest tylko Austrya.

Biorąc z tego punktu widzenia stanowisko polskiego powstania na oko, samo już z siebie wynika, jak pojmowałem politykę tę, której mojem zdaniem powinna się była trzymać Galicya. To, co powiedziałem powyżej o obowiązkach prowincyi polskich pod berłem rossyjskiem żyjących względem powstania, zastosowywałem także i do Galicyi. Pomoc nagłą, silną i energiczną, wydobytą ze wszystkich sił kraju i wrzuconą od razu w granice królestwa, uważałem za najpierwrszy obowiązek galicyjskiej ludności. Ale zarazem miałem za polityczną konieczność zajęcie takiej postawy w obec Austryi, ażeby rząd jej nie miał najmniejszego wątpienia, ażeby owszem jaknajgłębsze miał przekonanie, nietylko, że insurrekya ta nie wkroczy w żadnym wypadku bez jego woli w jego granice, ale nawet że te pomocnicze dla powstania roboty nie zaburzą bynajmniej publicznego usposobienia umysłów w duchu obecnemu porządkowi rzeczy przeciwnym. O trafności tego zapatrywania się byłem przekonany tem głębiej, ile że było dla mnie rzeczą widoczną, że rząd austryacki bez wątpienia będzie patrzał przez szpary na wszystko, co Galicya podejmie w celu przyniesienia pomocy powstaniu przeciwko Rossyi; ale również bez żadnego wątpienia nie zniesie żadnej rewolucyjnej agitacyi i rewolucyjnym duchem przesiąkłej organizacyi w obrębie swojego państwa. Położenie zatem istotne Galicyi względem powstania bylo takie:

że tak doniosłość, jak skuteczność pomocy, jaką ten kraj mógł przynieść insurrekcyi działającej przeciwko Rossyi, stała w prostym stosunku do lojalności, jaką zachowa i jawnie okaże dla rządu.

Tak samo zapatrywali się na stosunek sprawy polskiej do Austryi i na stosunek Galicyi do każdego powstania, z różnicą tylko mniejszej lub większej dosadności wyrazu, wszyscy głębiej myślący statyści polscy od Mochnackiego począwszy aż do wszystkich trzeźwiejszych członków Rządu Narodowego. Tak samo zapatrują się dziś na te obydwie kwestye wszyscy publicyści krajowi, nawet i ci, którzy jeszcze wczoraj z czerwonym sztandarem w ręku stali na zasadzie demokratycznej rzeczypospolitej w dawnych granicach: a niektórzy z nich posunęli się jeszcze daleko dalej — posunęli się tam, gdzie ja nigdy nie byłem i nigdy nie pójdę — bo propagują widoki zupełnego zlania się Galicyi z austryacką monarchiją.

Ale podówczas, kiedy niemal we wszystkich paliło się głowach, jawne wypowiadanie takich politycznych przekonań nie mogło mi zyskiwać przyjaciół; owszem przeciwnie, tworzyło mi twardych, chociaż milczących nieprzyjaciół pomiędzy tymi, którzy już wówczas nie umiejąc rozróżnić sprawy polskiej od rewolucyi powszechnej, nosili się z zamiarami zapłodnienia duchem rewolucyjnym organizacyi narodowej w Galicyi.

VI.

Nie będę tu opowiadał szczegółowo udziału, jaki wziąłem w robotach mających na celu przyniesienie pomocy powstaniu. Nie potrzebuję szukać w moich zasługach obrony. Dzieje te zresztą tu nie należą do rzeczy. Tu zatem dotknę tych tylko wypadków, które mają bespośrednią styczność z będącym w mowie procesem, ażeby przedstawieniem ich w świetle prawdziwem poprostować porozsiewane o mnie a nieprawdziwe mniemania.

Do takich nieprawdziwych, do takich z gruntu fałszywych mniemań należy przedewszystkiem przyjęte powszechnie, a nawet, tak w kraju, jak w emigracyi głęboko zakorzenione przekonanie, jakobym ja był, nietylko przed powstaniem, lecz jeszcze i w czasie powstania, ciągłym i stałym X. Adama Sapiehy doradzcą. Opinija publiczna, widząc nas obudwóch swojego czasu do ostatniego oddechu wytrzymujących przy „Głosie“, ustaliła u siebie to przekonanie tak silnie, że ani wówczas, ani jeszcze do dziś dnia, nie zdołały go obalić nawet jawne wypadki takie, które oczywiście świadczyły, że od samego początku powstania nie było już pomiędzy nami żadnego spólnictwa. Gdyby to przekonanie było pozostało tylko luźnem zdarzeniem bez żadnych wpływów, to mógłbym je tutaj tak jak wiele innych z tem spokojniejszem przemilczeć sumieniem,

ile że zapewne nikt mnie posądzić nie zechce, jakobym chciał sobie przypisywać choćby tyko najdrobniejszą część zasług położonych przez X. Sapiehę podczas powstania około sprawy publicznej. Tak jednak nie jest. Albowiem to mylne przekonanie stało się nietylko źródłem nieskończonych i niewyczerpanych kabał strojonych z zadziwiającą zmyślnością i energiją przeciwko naszym osobom, lecz stało się także pozorem do utworzenia równie mylnego przekonania o istnieniu jakiegoś jakoby arystokratyczno-klerykalno-austryackiego stronnictwa w Galicyi, które miało być czynnem podczas powstania, którego kierownictwo nam obudwóm przypisywano — a którego podówczas ani cień nawet nie istniał.

Żałuję bardzo, iż nieuniknione względy tak na osoby, jak na wypadki, których odsłonienie jeszcze nie jest na czasie, nie pozwalają mi określić tej kwestyi dokładnie a zarazem odsłonić tych wszystkich kabał tajemnych i jawnych, które podówczas knuto w tym kierunku i duchu przeciwko galicyjskiej organizacyi. Wszelako mogę i powinienem tutaj powiedzieć, że na podstawie wiadomości czerpanych ze źródeł żadnemu nieulegających wątpieniu, pomiędzy któremi się także i autentyczne dokumenty znajdują, uzyskałem zaprawdę przerażająco jasny wgląd w cały a nieskończony szereg systematycznie ze sobą powiązanych plotek, kłamstw, oszczerstw i kabał, które przechodziły przez wszystkie szczeble organizacyjnej hierarchii Rządu Narodowego i dochodziły aż do jej szczytu, których celem zawsze i wszędzie było podkopanie tych wpływów i władzy, jakie X. Sapieha uzyskał — a w których zawsze i wszędzie ja jestem przedstawiony to jako pióro, to jako ręka, to nawet jako głowa X. Sapichy.

Okoliczność ta, która była pierwszem i głównem źródłem wymierzonych przeciwko mnie napaści ze strony najgorętszych, czyli późniejtak zwanych „czerwonych“ spółpracowników na polu narodowych przedsięwzięć — okoliczność ta, która już zdaleka wskazuje, przecikow komu musiał się naturalnym porządkiem rzeczy zwrócić cały prąd ka bał podziemnych natenczas, kiedy X. Sapiehy zabrakło — nakazuje mi ile możności dokładnie wyświecić, jakie były rzeczywiste stosunki moje do X. Sapiehy podczas powstania.

Obaczymy tu jeszcze raz a nie po raz ostatni, jak dalece częstokroć mylne, jak nieraz wprost prawdzie przeciwne są przekonania takiej opinii publicznej, która nie wchodząc nigdy z własnego popędu w istotę rzeczy, daje się powodować pierwszym lepszym krzykaczom i intrygantom, i która niestety — stokroć w błąd wprowadzona i oszukana, niejednokrotnie nawet za szkodliwe użyta narzędzie do niegodziwych zamiarów, mimo gorżkich dla siebie i kraju doświadczeń, nazajutrz znowu powraca do tych samych fałszywych proroków, ażeby znowu wierzyć ich kłamstwom i znowu kabałom ich służyć za martwe narzędzie.

VII.

Polityczne stosunki moje do X. Adama Sapiehy polegały w ogóle tylko na jednej politycznej idei.

W mojem przekonaniu każde społeczeństwo, w jakichkolwiek się znajduje warunkach bytu, tylko wtedy się może naturalnym trybem rozwijać, jeżeli utworzy w swem łonie dwa główne społeczno-polityczne stronnictwa: jedno zachowawcze, zajęte utrzymywaniem, porządkowaniem i upożytecznianiem tak odziedziczonych, jak świeżo nabytych, skarbów moralnych i materialnych — a drugie burzące zarazem i twórcze, zajęte jednocześnie uprzątaniem preszkód postępowi na drodze stojących i tworzeniem sił nowych i świeżych. Tylko wzajemna takich dwóch stronnictw gra tworzy wspaniały fenomen życia i obraca jego owoce na ogólny pożytek. Gdzie niemasz burzącego zmorszniałe zabytki przeszłości i tworzącego nowe idee stronnictwa, tam społeczeństwo, jak woda stojąca, przechodzi zwolna w zgniliznę: a gdzie niemasz poważnej i statecznej potęgi, narzucającej miarę gwałtownym tego stronnictwa zapędom, tam jego siła burząca rosprzęga więź społeczeństwa i rzuca go potem w długotrwałe omdlenie. Tylko równowaga takich dwóch stronnictw i bezustanna ich czynność zachowuje siły już istniejące, wytwarza nowe i całą potęgę społeczną coraz wspanialej rozwija, rozrzesza i wzmacnia.

Społeczeństwo polskie w wszystkich prowincyach, a szczególnie w Galicyi, nie umiało nigdy utworzyć w swem łonie tego naturalnego ustroju. W spokojnych dobach jego istnienia górują w niem zawsze przeważnie niby-zachowawcze żywioły a wtedy uchodzi mu czas w półsennej martwocie: kiedy zaś duch jego spiący zostanie zbudzonym, natenczas mała spoczątku garsteczka najruchliwszych żywiołów zdobywa sobie w krótkim przeciągu czasu taką przewagę, iż potem w oka mgnieniu opanowywa kraj cały — a wtedy orkan siły burzącej, żadną przeciwwagą nie hamowany, szaleje po nim dopóty, dopóki nie straci oddechu. A kiedy ta burza się wyszaleje, gromy ogłuchną, błyskawice pogasną, ulewa się przejmie a niebo jakokolwiek się wypogodzi: to cały kraj kładzie krzyż święty na piersiach i znowu się w senność zanurza.

Nie byłoby powstań niewczesnych, po których trzeba przeklinać szatana lub bluźnić samemu Bogu: gdyby społeczeństwo się urządziło według naturalnego ustroju.

U nas stronnictwa postępowego, stronnictwa ruchu, nigdy nie brakło i nigdy go nie zabraknie: lecz brakowało zawsze tej siły, któraby umiała zorganizować stronnictwo porządku i umiarkowania.

Ten nienaturalny, prawie chorobliwy stan rzeczy, bo tamujący cały obieg krwi w organizmie społecznym i przerzucający go nagle z nadzwyczaj leniwego tętnienia w stan gorączkowy, był dla mnie od najmłodszych lat moich przedmiotem wielostronnej rozwagi — a utworzenie zachowawczego stronnictwa mojem marzeniem.

Niewiem, jakie tam kto miał idee, przystępując do założenia „Głosu“: ale ja, obejmując jego kierunek, przed wszystkiem innem ten cel miałem na myśli.

Inaczej — dla wejścia tylko w dziennikarskie szeregi, w których wcale nie potrzebowałem szukać ani chleba, ani sławy, ani zasługi — nie byłbym porzucał mojej roli ojczystej i xiążek, w które właśnie wtedy zanurzyłem się był głębiej, niż kiedykolwiek.

Zetknąwszy się w „Głosie“ z X. Adamem Sapiehą i poznawszy go zbliska, zdawało mi się, iż jest w nim właśnie ten cały materiał, jaki w Polsce mieć trzeba, ażeby się stać twórcą i przewódzcą zachowawczego stronnictwa. Głośne dziejowe imie, wielki majątek i dostateczna bystrość w pojmowaniu spraw politycznych a żartka energija w działaniu, oto przymioty dla takiego człowieka niezbędnie u nas potrzebne. Wszystko to miał X. Sapieha bez żadnego wątpienia — i nie brakowało mu zachowawczych instynktów z mlekiem matki wyssanych, i nie brakowało jeszcze naówczas umiejętności trzezwego obliczania się z okolicznościami i własnemi siłami, nabytej z młodu od ojca. Owóż myśl ta, że Xiążę, za pomocą licznych przyjaciół, którzy wówczas go otaczali, wyrobi się z czasem na przewodnika opinii, przedwszystkiem patriotycznej i samoistnej, lecz przytem umiarkowanej, politycznie-trzezwej i budującej, myśl ta, którą podówczas bardzo wiele poważnych ludzi ze mną dzieliło, była główną nicią przewodnią wszystkich moich politycznych z X. Sapiehą stosunków.

Obojętną już dzisiaj jest rzeczą, czyli X. Sapieha swoje ówczesne położenie w kraju tak samo pojmował i czyli albo o ile moim lub czyim innym ulegał wpływom; nadmienię tylko, że wówczas, utłumienie dziennika, moje uwięzienie, rosprzężenie tego małego zawiązku zachowawczych żywiołów, jaki się był przy „Głosie“ utworzył, niezwoływanie sejmu, zamknięcie posiedzeń Towarzystwa gospodarskiego a przeto zupełny brak punktu oparcia do rozwijania stanowczych w tym duchu czynności, uniemożebniły dalszy rozwój tej myśli.

Z wyjściem mojem z więzienia i z wybuchem powstania w królestwie okoliczności się wprawdzie zmieniły, ale położenie wewnętrzne kraju pozostało zawsze to samo. Główny cel politycznego działania przeniósł się z wnętrza prowincyi na zewnątrz; dośrodkowa dotychczas jej dążność powinna była się stać odśrodkową: ale taka organizacya wewnętrzna, która była naturalną i konieczną przedtem, pozostała nią także i potem. Owszem, stanowisko Galicyi względem powstania, pojęte

w ten sposób, jak je określiłem powyżej, nakazujące temu krajowi, zająć się udzielaniem powstaniu tylko materialnej pomocy a nie dopuszczać, ażeby tracił siły na agitacye polityczne wewnętrzne, nastręczało niezmiernie szczęśliwą sposobność do utworzenia właśnie takiego stronnictwa, które stworzone wtedy i silnie zorganizowane, byłoby bardzo głębokie zapuściło korzenie i pozostało na swojem stanowisku na zawsze. Głęboka świadomość celów, jasne pojęcie obowiązków względem powstania z jednej a względem samegoż kraju z drugiej strony, sumienne i energiczne ich dopełnienie, mogło takiemu nowo-utworzonemu stronnictwu nadać taką powagę w kraju i takim świetnym opromienić go blaskiem w obrazie wszsytkich czynników powstania, że pierwsza byłaby się stała niewyczerpanem źródłem siły dla niego na przyszłość a drugi byłby mu sporządził jedno z najzaszczytniejszych miejsc w dziejach narodu.

Tę myśl przedstawiałem w samym początku powstania kilkakrotnie X. Sapieże. Lecz wówczas nie byłem już rozumianym przez niego. Wówczas jego myśli już poszły były innym zupełnie torem, którego zresztą nie potrzebuję dokładniej określać. Dodać jednakże muszę, iż ten tor polityczny, którym naówczas zaczęto prowadzić sprawę publiczną w wschodniej Galicyi, według mojego przekonania, nie mógł przynieść pożądanego pożytku. Przewodnicy rzeczy publicznych, szukający podstawy dla siebie nie w jasno pojętych celach, którym chcą służyć, lecz w środkach, któremi chwilowo się posługują, nigdy nie podołali przedsięwziętemu zadaniu i zawsze sami padali pod jego ciężarem. Polityka, nie oparta na stałych zasadach, tylko oddana na łaskę dorywczej zmyślności, jest rozpaczliwą koniecznością organizmów upadających, lecz nigdy nic żywotnego nie stworzy. Pomiędzy mną a X. Sapiehą zaszły tedy naówczas stanowcze różnice w zasadach.

W skutek takiej niezgodności obustronnych widoków ogólnych, musiały oczywiście tem większe pomiędzy nami zachodzić różnice w zapatrywaniu się na szczegółowe czynności. Podług mojego przekonania, ani pierwsza po wybuchu powstania napisana odezwa, rozkazująca „czekać“, kiedy w królestwie już w kilkunastu miejscach lała się krew polska strugami a cała Europa stanęła z głośnym okrzykiem po stronie powstania; ani niska skala rospisanego podatku; ani pierwszy skład komitetu, zapominający zupełnie o tem, że powstanie przeważnie się opierało na żywiole mieszczańskim, ani sieć pierwszej organizacyi, opierająca się tylko na reprezentantach posiadłości szlacheckich — nie mogły odpowiedzieć skutecznie tym obowiąskom, jakie insurrekcya w królestwie włożyła na naszą prowincyę.

Przekonania te mogły być mylne, lecz były szczere — a przeto nie mógłem od nich odstąpić. Straciwszy zaś nadzieję, ażeby uwzględnione zostały, usunąłem się sam od politycznego wspólnictwa z X. Sapiehą

— a zachowałem tylko przyjazne z mej strony osobiste stosunki, do których się czułem obowiązanym, przynosząc od czasu jakąś szczegółową uwagę lub radę i nie usuwając się nigdy od tego wszystkiego, czembym mogł być sprawie powszechnej pomocnym a co się dość często zdarzało.

Szczegółowe wyświecenie tej kwestyi w tem miejscu może się komu wyda zbytecznem. Jednak tak nie jest. Xiążka ta bowiem będzie czytaną i po za granicami Galicyi — a tam bardzo wielu znajduje się ludzi, którzy czytali całe stosy aktów i dokumentów, usiłujących Rząd Narodowy przekonać, że w Galicyi istniało stronnictwo klerykalno-arystokratyczne, którego dążnością była reakcya a którego my byliśmy najczynniejszymi członkami. Na podstawie tego podania potworzono potem najpotworniejsze plotki o tajnych tegoż stronnictwa stycznościach z rządem austryackim, które nawet znalazły wyraz dla siebie w pismach publicznych. Musiałem tedy okazać dowodnie, że przedewszystkiem już zaraz pomiędzy X. Sapiehą a mną nie było żadnego politycznego wspólnictwa. Stronnictwa klerykalno-arystokratycznego ani cienia nie było w Galicyi — i nie było żadnej najmniejszej frakcyi, któraby była w chodziła w jakiekolwiek polityczne z zagranicą stosunki. Polityka żadnego z komitetów działających w kraju nie posuwała się w zakres takich czynności, które były pozostawione w całości Rządowi Narodowemu i jego zagranicznym ajencyom. Osoby, działające w pierwszych szeregach w Galicyi, mogły się mylić w swych szczegółowych widzeniach, mogły nawet przedsiębrać czynności takie, które, jak Dyktatura na przykład, przybierały w oczach patriotów gorętszych pozory reakcyi lub kontrrewolucyi; ale zawsze i wszędzie działały w wierze najlepszej a ich patriotyzm był niepokalanym i nieprzystępnym dla żadnych dwulicowych dążności.

VIII.

W kilka tygodni po zbrojnym wybuchu powstanie rostoczyło się tak jasnym i przezroczystym obrazem, że jego społeczne i polityczne znaczenie, jego cała moralna i materialna natura była dla każdego widoczną, kto umiał patrzeć i myśleć. Jego myśl główna, jego ogólne i szczegółowe dążności, jego części składowe i stosunki do rozmaitych warstw społeczeństwa, przedstawiające się jako niezrozumiałe hieroglify dla obcych, były pismem jaknajzupełniej czytelnem dla każdego oświeconego Polaka. W tem pismie można było już wówczas wyczytać jednę wielką dziejową prawdę, która może i dzisiaj jeszcze nie dla wszystkich czytelna, mimo to wszakże stała się ciałem, i której już żadna ziemska potęga nie zmaże.

Szlachta polska — nie te miliony serc ubogich i prostych, które były po wszystkie wieki tylko herbownym ludem, ale ta wierzchnia warstwa, która dzierżyła wyłącznie w swym ręku losy narodu — już w XVIII wieku tak podupadła moralnie, że nie zdołała sprostać swym obowiązkom. W czasie konfederacyi Barskiej nie była w stanie wystawić więcej jak piętnaście tysięcy szabel i dała się pobić czterdziestu tysiącom Moskali. Ani w powstaniu Kościuszki, kiedy ostatnie rzeczypospolitej baszty waliły się w gruzy, ani w roku 1831, kiedy jedynym ratunkiem dla utrzymania Polski imienia było wskrzeszenie z martwych massy wiejskiego ludu, szlachta nie umiała się wznieść tak wysoko, ażeby się zrzec swego zwierzchnictwa nad ludem i oddać mu ziemię na własność. Lecz jeszcze wtedy, w jednym razie i w drugim, przystąpiła jawnie i całą swoją wielmożną potęgą do rewolucyi a cała jej młodzież stanęła pod narodowemi sztandary. W roku 1863 szlachta polska także jeszcze nie zdobyła się na to, ażeby się jednorazowym, stanowczym czynem wznieść do wysokości takiej ofiary, do jakiej powinna się była wznieść jeszcze za czasów Kościuszki — a zarazem już także nie zdobyła się na to, ażeby jawnie i całą swoją potęgą do powstania przystąpić, i już jej młodzież, krom stosunkowo bardzo nielicznych lubo bardzo zaszczytnych wyjątków, nie zdobyła się na to, ażeby sobą wypełnić powstańcze oddziały. Powstanie w Królestwie polskiem — i któż tego od razu nie dojrzał? — zostało podniesionem przez drobniejszą intelligencyę i byłych wojskowych a zasycone i utrzymywane głównie przez drobnych właścicieli, dzierzawców, urzędników prywatnych i warstwę społeczną mieszczańską. Szlachta polska, w powyższem jej określeniu, nie mając na to dość siły, ażeby zawczasu murem stanąć przeciw powstaniu, ani dość poświęcenia, ażeby murem do niego przystąpić, zajęła w ogólności względem powstania tylko poziome stanowisko dostarczyciela żywności i rekwizytów wojennych. Kto się zrzeka obowiązków, ten traci zarazem prawa: toż skutkiem tego w roku pańskim 1863 szlachta polska, jako osobny społeczno-polityczny organizm, przestała istnieć na wieki. Dziesięcio-wiekowa xięga jej publicznego żywota została w tym roku zamkniętą a duch przeszłości położył na niej swą pieczęć, której żadna moc ziemska nie zerwie.

Ta wielka dziejowa prawda, którą powstanie tak czytelnemi głoskami wypisało w królestwie, jeszcze niemal czytelniej się objawiła w Galicyi. Komitet pierwszy, jaki się zawiązał we Lwowie a który „Sapieżyńskim“ nazwano, oparł się był wyłącznie na szlachcie: lecz już tem samem, że zaczął od wahania się i tylko dwadzieścia pięć procentu podatku rozpisał, zdradził całą swą słabość, na jaką sam przez cały czas swego istnienia chorował, i którą w puściznie swojemu następcy przekazał. Nie było jego powołaniem a nawet byłoby błędem, gdyby był jawnie i w imieniu całej szlachty do powstania przystąpił: lecz było

jego powołaniem, ba obowiązkiem najpierwszym, tę szlachtę, którą rządził i którą reprezentował, natchnąć patriotycznym duchem jej przodków i wypełnić nią organizujące się w kraju oddziały. Inaczej ten obowiązek pojął i inaczej go też dopełnił Jan Działyński w Poznańskiem. Inaczej bywało jeszcze niedawnemi czasami w Galicyi. W roku 1831 rzuciło się do królestwa około piętnaście tysięcy młodzieży szlacheckiej; w roku 1846 we wszystkich obwodach, w których powstanie przyjść mogło do skutku, wszyscyśmy na koń wsiedli, od dworu do dworu a kiedyśmy się obliczyli na miejscach zbioru, ledwie dziesiąty brakował. W roku pańskim 1863 tylko młodzież Sanocka ruszyla trochę gromadniej — a zresztą, Jabłonowskich, Tarnowskich, Wodzickich, Gorayskich, Bobowskich, Zaklików, można było na palcach policzyć. A i tych jeszcze, jak powszechnie wiadomo, natchnął duchem rycerskim nie komitet „Sapieżyński“. . . . . Komitet ten wszelako popełnił prócz tego jeszcze i ten błąd niedarowany, że jakkolwiek przyjął do swego składu najznakomitszych przedstawicieli demokracyi krajowej, ominął zupełnie żywioł mieszczański i nie szukał wcale oparcia w miastach. Żywioł mieszczański, który z takim zapałem zgarnął się do powstania w Królestwie, w Galicyi takiemi samemi ożywiony był uczuciami — a tem samem czuł to bardzo boleśnie, że nie zostawiono dlań miejsca przy tym wspaniałym ołtarzu patriotycznej ofiary. A przecież w tem położeniu rzeczy należało się mu miejsce zaszczytne a nawet pierwsze przed wielu innemi.

Lubo aż do owegu czasu temu żywiołowi zupełnie obcy, ja byłem pomiędzy pierwszymi, który to położenie jasno pojęli, te zacne uczucia odgadli i ból ten szlachetny uszanowali. Jakoż już w kilka tygodni po wybuchu powstania powziąłem był myśl zawiązania komitetu miejskiego, który miał być w przeważnej liczbie z rodowitych mieszczan złożony a którego przeznaczeniem być miało, zajęcie stanowiska gospodarza w swym domu, stanowiska, które się miastu jaknajsłuszniej należało a którego mu jaknajniesłuszniej nie dano.

Myśl tę zakomunikowałem tym ludziom, których pewnej skłonności do tego przedsięwzięcia spodziewać się mógłem — a już w dni kilka potem stanął na nogach „Komitet Miejski“, w którego skład weszło oprócz mnie, czterech mieszczan, używających dzisiaj powszechnego szacunku we Lwowie, jeden z miejscowych kapłanów i jeden z lwowskich prawników. Jak tylko się ten komitet zawiązał, zaopatrzyłem jednego z mieszczan w kredytywę do Rządu Narodowego, z którą też znamienity ten patriota natychmiast do Warszawy pojechał i zawiązał tam odpowiednie stosunki.

Celem tego komitetu nie było bynajmniej stawiać się w opozycyi przeciwko którejkolwiek z władz narodowych, owszem przeciwnie, przeznaczeniem jego było przychodzić każdemu rzetelnemu czynnikowi

powstania na swoim gruncie z pożądaną pomocą. Słabemu jeszcze podówczas zawiązkowi stronnictwa rewolucyjnego, czyli takzwanych „czerwonych“, wyśliznął on wprawdzie z pod nóg jedyną wówczas dla tego stronnictwa przystępną podstawę działania, bo kiedy Komitet „Sapieżyński“ opanował całą prowincyę, Komitet miejski całą ludność miejską pod swoją władzę podgarnął; ale walki on z niem nie prowadził, bo frakcya ta, która z początkiem powstania wybuchnęła była pierwszym płomieniem zapału i przez to, zagrzewając kraj cały do energicznej czynności, sprawie powstania niemałą usługę oddała, wtedy już była zupełnie przycichła. Z komitetem zaś „Sapieżyńskim“ szedł komitet miejski ręka w rękę i był mu w obrębie swej władzy w wszystkich kiesunkach usłużnym. Dziś, rozważywszy dokładnie dalszy bieg następujących po sobie wypadków, można nawet powiedzieć z pewnością, że gdyby komitet miejski nie był się w owym czasie zawiązał, to frakcya rewolucyjna byłaby się do sześciu tygodni do takiej potęgi rozwielmożyła we Lwowie, że komitet „Sapieżyński“, byłby już w Maju — z bardzo rozgłośnym brzękiem i trzaskiem — runał z swojej posady. Nie upieram się jednak koniecznie przy tem mniemaniu, jakoby i to było Komitetu miejskiego zasługą.....

IX.

Wszelako oprócz względnie wątpliwych, położył komitet miejski i niewątpliwe zasługi.

Tak przedewszystkiem był on od czasu rozbioru pierwszym politycznym zawiązkiem, który pomiędzy lwowskimi mieszczany jasną świadomość siebie na podstawie, nie galicyskiego, ale polskiego patriotyzmu rozbudził i zaraz na drogę czynu wprowadził. Rzecz-to, zaprawdę, niemałej wagi — a żywotna prawda w niej tkwiąca, stawszy się już raz ciałem, zapewne żywą zostanie na zawsze..... Powtóre, komitet miejski rozbudził w mieście tak żywego ducha ofiary i poświęcenia, jakiego przed nim nikt jeszcze rozbudzić nie zdołał a którego po nim utrzymywano wprawdzie do końca, ale już ani tak wzniosłemi, ani też tak czystemi środkami.....

Ofiary przez miasto za jego czasów złożone nie były na pozór wielkie, bo nie stać było na nie ludność ubogą a nikogo do nich gwałtem nie przymuszano. Komitet miejski wyprawił pod swoją chorągwią tylko jeden oddział powstańczy, którym dowodził nieodżałowanej pamięci Leszek Wiśniowski: ale ten oddział zatknął chorągiew miasta na ziemi krwawego boju a jego dowódzca położył w imieniu miasta życie swoje w ofierze. Ofiara ta zapisała się rzewnemi głoskami w sercu ludności miejskiej a żywe wspomnienie przeniesie ją w serca dalszych

pokoleń. Takie rzeczy zawsze coś warte u Boga; może też z czasem nabędą jakiejś wartości u ludzi. . . . .

Ofiary te wszakże, jakie miasto wówczas poniosło, były daleko większe, niżeli się wydawały na pozór. O grosz gotowy było nie łatwo, ale o chleb u nas nigdy nie trudno: ofiary miasta głównie składały się z chleba. Były chwile, czasem nawet dość długie, w których Lwów żywił tysiąc i dwa tysiące powstańców. Jeżeli dla tylu ludzi chleba nie brakło i jeśli go z serca dawano, jeżeli go nawet cudzoziemcy z dobrej woli dawali: to była to tylko tego Komitetu zasługa. Bo on najpierwszy pootwierał te serca, on umiał je do powolności nakłonić, on bez hałasu, bez groźb, bez żandarmów a nawet bez tak rozległej i zaludnionej organizacyi, jaką poźniej stworzono, zawsze wszystko otrzymał i wszystkiego dopełnił, co tylko ludność dać mogła — i niewiem, czegoby on nie dopełnił — i niewiem, ażeby się ktokolwiek na niego był skarzył. A to wszystko osięgnął on tylko temi srodkami, iż położenie miasta jasno rozumiał a swoim czynnościom umiał rostropną zakreślić miarę.

Wszelako powinienem dodać, iż że tak było, nie przypisuję sobie w tem żadnej zasługi. Zasługa tego wszystkiego należy się przedewszystkiem rozsądkowi, skrzętności i poświęceniu tych czterech mieszczan, którzy całą pracę tego wydziału na swoje barki włożyli. Wspominam tu o tych zasługach, bo są godne wspomnienia — a niewiem ażeli się zdarzy kto inny, któryby je znał dosyć dokładnie i chciał im oddać cześć zasłużoną.

X.

W epoce najsilniejszego rozwoju tego komitetu, kiedy właśnie miasta prowincyonalne zaczęły się garnąć ku niemu, utworzono dyktaturę w Krakowie. Z dniem ogłoszenia dyktatury zawezwano mnie do Krakowa i ofiarowano mi urząd szefa bióra w ministerium spraw zagranicznych.

Zapatrywanie się moje na ten „niedoczyn“ politycznego rozumu — jak trafnie Mierosławski tę dyktaturę nazywa — było naówczas takie jakiem jest dzisiaj niemal powszechne o nim mniemanie, i jak go bez wątpienia osądzi historya. Przyjęcia ofiarowanego mi urzędu wprost odmówiłem.

Nie pamiętam już dzisiaj, jakiemi słowy naówczas to utworzenie dyktatury określiłem; lecz musiały one zapewne być trafne a przynajmniej dobitne, bo pomnę, że przeciwnicy dyktatury, dowiedzawszy się o nich niewiem jakim sposobem, dziękowali mi za nie, wyrażając mi swoje uznanie.

Z tego zapewne powodu, kiedy dyktatura upadła i kiedy znowu byłem w Krakowie, ażeby się w imieniu miejskiego Komitetu znieść

z nową władzą, zbliżono się do mnie, dając do zrozumienia, iż powierzonoby mi jakiś wyższy urząd w nowym porządku rzeczy.

Gdybym był miał istotnie jakieś urzędowe ambicye, o które podobno poźniej mnie posądzano, to mógłbym był je natenczas zaprawdę zadowolić do syta. Był wówczas moment, w którym wszystko leżało na ziemi — a dość było się schylić, aby podnieść tyle urzędów, ile się mieć ich pragnęło. Jak dalece łatwo było o to natenczas, najlepiej wyjaśni to przypomnienie, że nawet ci, którzy dyktaturę stworzyli a których dziś za to wskazywano na szubienicę, już zaraz nazajutrz poubierali się w takie godności, jakie się im samym wziąć podobało. Czegóż wówczas nie mogła zagarnąć ambicya niezużytego jeszcze człowieka! —

Ale ja nie wziąłem nic — a nawet po nic nie wyciągnąłem ręki. Powody te, dla których nigdy podczas powstania nie sięgałem po wyższe urzędy, lubo ich obowiązkom może czasem lepiej mógłem zadość uczynić niż wielu innych, w krótkich tu słowach wyłożę. Oto ja znałem już wówczas tę ogromną różnicę, jaka zachodziła pomiędzy stanowiskiem prowadzącem powstanie a stanowiskiem pomagającem powstaniu. Różnica ta stanowiła główną dla mego politycznego postępowania skazówkę.

Pomagać powstaniu, kiedy już raz wybuchło, pomagać mu zawsze i wszędzie i wszelkiemi siłami, miałem sobie za nieodbity obowiązek, równie patriotyczny jak polityczny. Za patriotyczny dla tego, bo nigdy dobry obywatel nie usuwa się od pracy lub walki, do której cały naród jednogłośnie przystąpił, jak tylko swemi siłami do niej przyczynić się może; za polityczny dlatego, iż wówczas, jakkolwiek było rzeczą widoczną, że powstanie o swoich siłach Polski nie wyswobodzi, jednak wedle wszystkich skazówek należało się jeszcze spodziewać, że Europa zachodnia sprawy tej nie opuści i koniecznie coś dla niej, jeżeli nie wywalczy, to przynajmniej wymoże. A im silniej się utrzymywało powstanie, tem prawdopodobniejszemi były te jedyne widoki. Pomagać zatem powstaniu było obowiązkiem każdego, aż do stracenia tych jedynych widoków.

Ale prowadzić powstanie, to rola zupełnie inna. Powstanie było, według mojego widzenia rzeczy, już samo w sobie błędem ogromnym; lecz jeszcze daleko większy błąd popełniła możniejsza większość narodu, że go od razu całemi nie poparła siłami. Do kierownictwa takiej sprawy mogli się już w samym początku porywać tylko ludzie tacy, którzy oprócz konspiratorskiego talentu mieli potężną wiarę i w swoje własne zdolności, i w siły narodu: jakichże-to dopiero talentów i jakiej wiary potrzeba było do przyjęcia tej roli na siebie wtenczas, kiedy kraj już się poczynał wyczerpywać na siłach i kiedy wysoki zrazu jego nastrój duchowy już się widocznie rosprzęgał i zniżał? — Uwielbiać należy tych ludzi, którzy rzucali się w ogień, bądz z ślepą wiarą, bądz nawet bez wiary: ale iść w ogień bez wiary i drugich za sobą prowadzić, to nie każdemu jest dane.

Ja tej odwagi w sobie nie miałem — i dlatego od początku powstania nie rwałem się do żadnego kierowniczego urzędu i nigdybym był takiego urzędu nie przyjął.

Powróciwszy po upadku dyktatury z Krakowa, przyczyniałem się ile moich sił do dalszego rozwoju czynności Komitetu miejskiego, w duchu i kierunku już powyżej wskazanym. Praca ta trwała bez przerwy do końca maja. Wszakże pod koniec miesiąca maja przyjechał nowy Komisarz Rządu Narodowego do Lwowa z zamiarem zniesienia wszystkich władz narodowych sporadycznie powstałych a utworzenia innych z ramienia Rządu Narodowego w ich miejsce. Komitet miejski miał paśdź najpierwszą tego zamachu ofiarą.

Komitet ten już przedtem raz się znajdował w tem położeniu, że go znieść zamierzono. Jenerał Józef Wysocki, który przyjechał był w Marcu do Lwowa jako Naczelnik sił zbrojnych, ale zarazem zaopatrzony władzą cywilną, zamierzył był znieść wszystkie komitety tam istniejące i przysłał rozkaz Komitetowi miejskiemu, ażeby się bez zwłoki rozwiązał i oddał mu swoje akta, swoje zapasy i kasę. Nie byłem zdania naówczas, jakoby Komitet miejski powinien byl ten rozkaz wykonać: a jakkolwiek wszyscy członkowie byli zupełnie skłonni do ustąpienia, sam jeden sprzeciwiłem się temu i po kilkogodzinnej dyskussyi przeważyłem wszystkich na moją stronę.

Na odpowiedź stanowczo odmowną, Jenerał Wysocki cofnął swój roskaz pisemnie i wypowiedział oczekiwanie, że Komitet miejski patriotycznych swych obowiązków nie zaniedba dopełnić. Pod ową porę nie należało i nie można było inaczej postąpić: bo Galicya stała jeszcze podówczas na stanowisku niezawisłem od Rządu Narodowego i Rząd Narodowy to stanowisko uznawał.

Lecz kiedy przyjechał nowy komisarz od nowo utworzonego Rządu Narodowego, który od tego swoje stosunki w Galicyi zaczynał, że zamierzył potworzyć nowe władze ze swego ramienia; przed powzięciem postanowienia, jak ma się zachować Komitet miejski, należało wpierw wyrozumieć: najprzód, jaki duch wieje w ówczesnym Rządzie, a powtóre, jakie stanowisko względem niego zajmie Komitet Biały.

Ducha Rządu najtrafniej można odgadnąć po jego urzędniku, zwłaszcza po Komisarzu z pełnomocną władzą na całą prowincyę.

Komisarz ten był u mnie kilkakrotnie wraz z swym pomocnikiem; lecz obadwa ci urzędnicy wcale nie budujące sprawili na mnie wrażenie. Prowadzone przez takich ludzi, którzy nieświadomi swojego celu i niezaradni w działaniu, dają się nieść na ślepo rewolucyjnym burzom, przepadają najlepsze sprawy i żadna pomoc uboczna im nie pomoże.

Wszelako Komitet Biały zmiękł był w obec tego komisarza i — zamiast zdecydować się na jeden z dwóch bitych gościńców t. j. albo stanąć niewzruszenie na tej zasadzie, że Galicya musi swą niezawisłość

zachować, albo poddać się w zupełności Rządowi Narodowemu — rzuciwszy się na drogę pośrednią, w wszystkich rewolucyach niechybnie zgubną, wdał się z nim w targi i układy.

Oprócz tego wszystkiego zaczęły już były występować naówczas na scenę publiczną osobiste ambicye, koteryjne kabały, jawne i skryte niechęci i nienawiści — i byli ludzie, nawet na wyższych siedzący urzędach, których żądza błyszczenia i rozkazywania tak zaślepiała, że wprawdzie oni sami podnosili się coraz wyżej, ale sprawa publiczna na ich czynnościach coraz niżej padała.

Były-to wprawdzie czasy jeszcze nadzwyczaj świetne, ba najświetniejsza doba narodowego ruchu na Rusi Czerwonej. Jeziorański bił głośne bitwy jedną po drugiej, przypominające walecznością i poświęceniem żelazne wieki starożytnego rycerstwa. Wysocki, Horodyński, Gołuchowski, przygotowywali oddziały z wyborowej złożone młodzieży, dobrze ubrane i uzbrojone, i lada dzień mieli w pole wyruszyć. Jordan z Popielem i Dunajewskim, zbliżał się już na czele swych hufców ku Wiśle. Cały kraj zmienił w słuch wszystkie swe zmysły i zatrzymując oddech w swej piersi, czekał z bijącem sercem radośnych wieści o nowych zwycięztwach. Lecz czekał tycho wieści z tak mocno bijącem sercem dlatego, bo czuł już, że to wysilenie prawie ostatnie. Duch jego, wzniosłym uniesiony zapałem, jeszcze parł naprzód: lecz ciało już zaczynało upadać w omdleniu.

Położenie sprawy publicznej wówczas było dla mnie dość jasnem. Patriotyczne uczucie pragnęło zwycięztw; lecz oko przewidywało klęski. A po klęskach bezwładność. A w bezwładności najazd i panowanie zbłąkanych rewolucyjnych żywiołów, pod których rządem kraj będzie musiał utracić świadomość siebie i na wszystkie rozbłąka się drogi, — oprócz drogi zbawienia.

Widziała to zacniejsza młodzież we Lwowie równie jasnemi oczyma i już zaczęła była oblegać szturmem komitet Biały; lecz nie miała dość siły moralnej, ażeby złemu zaradzić.

Kiedy więc wówczas, po długich dyskussyach i targach, doręczono komitetowi miejskiemu rozkaz rozwiązania się, patrzałem już tylko, co na to powie komitet Biały. A widząc, że komitet Biały niema nic przeciw temu, ażeby komitet Miejski ustąpił miejsca innej organizacyi, lubo ducha i dążność takowej już wtedy można było przewidzieć: już nie stawiłem temu rozkazowi oporu — i ustąpiłem zupełnie z tego pola działania.

Zmęczony trzechletnią wyczerpującą pracą, przerwaną tylko jeszcze więcej wyczerpującem więzieniem, wyjechałem podówczas na kilka tygodni na wieś, aby cokolwiek odpocząć.

XI.

Wróciwszy z początkiem miesiąca Sierpnia do Lwowa, zastałem położenie rzeczy prawie z gruntu zmienione.

Świetny fajerwerk spalił się — i zostawił po sobie ruiny i zgliszcza.

Jeziorański ustąpił z pola i obłóżnie zaniemógł. Formujacy się przez kilka miesięcy oddział Wysockiego, przekroczył nareszcie granicę, ale po nieszczęśliwem, choć bez wątpienia walecznem spotkaniu, został rozbitym i wpartym na powrót do kraju. Horodyński zginął w Radziwiłłowie; Wysocki wrócił, lecz dostał się do więzienia. Oddział Popiela wycięty; Dunajewski wrzucony we Wisłę; Tarnowski i Jabłonowski zginęli. Sapieha i Ziemiałkowski, osobiście czynni przy Radziwiłłowskiej wyprawie, do więzienia wrzuceni. A ileż-to innych ofiar, których tu nie wyliczyć!

Na miejsce zaś tych, którzy zginęli lub poszli do więzień, nowe przybyły żywioły, z zachodu, z północy i z wschodu, i przybyło ich tyle, że ludność miasta prawie fizyonomiję swoją zmieniła.

Kto miał oczy natenczas, ten nie mógł nie widzieć, że jedna epoka ruchu na Rusi Czerwonej już się skończyła a zaczęła się druga.

Lepsza czy gorsza? — zaraz to obaczymy.

Stan i usposobienie kraju — mówię zawsze tylko o wschodniej Galicyi — były naówczas takie, iż ktokolwiek go znał i patrzał nań trzezwemi oczyma, ten nie miał o tem najmniejszego wątpienia, że to, co się zeń jeszcze da dla powstania wydobyć, może już mieć tylko bardzo małe znaczenie. Jeszcze wtedy ani środków, ani też chęci nie brakło: ale skuteczny sposób wydobywania jednych a utrzymywania drugich był już stanowczo zepsuty. Albowiem w Polsce nigdy poświęcenia nie brakło, jak tylko umiano je w porze stosownej obudzić wielkiemi myślami — i nigdy w Polsce ofiar nie brakło, dopóki ofiar godnymi okazywali się ci, którzy niemi rosporządzali: ale ile kroć się zdarzyło, że w pierwszej chwili zapału nie wydobyto tyle środków z kraju, ile ich kraj dostarczyć był w stanie a nadto jeszcze tych środkow bezskutecznie użyto; zawsze duch poświęcenia szybko upadał — i nie było już potem tej siły, któraby potrafiła go wskrzesić na nowo. Tak się też stało i wówczas. Nie wyczerpały się jeszcze środki na rzecz powstania, tylko nie było dość energicznej dłoni, któraby je umiała wydobyć — i nie zużył się jeszcze duch poświęcenia, tylko go wiotkość władz kierujących znużyła. Nadto wszystko ogarnęła natenczas całą warstwę wykształceńszą ludności epidemiczna manija urzędowania i to do tego stopnia, że prawie nie było człowieka, któryby się nie

ubiegał o jakąś urzędową posadę, tak że kraj cały przedstawiał się wówczas jakoby jakieś społeczeństwo już się rosprzęgające, ale szukające zarazem wszelkiemi siłami form i sposobów nowego ukształtowania swojego składu. Usposobienie to miało bez wątpienia swą dobrą stronę, bo ilu było ludzi łaknących urzędowania, tyle sił dobrze usposobionych do pracy: ale miało za to tę stronę fatalną, iż zdradzało coraz mocniejsze rozbłąkiwanie się tychże i brak nad niemi kierunku, który już tylko bardzo silna dłoń mogła im nadać. Nigdy też jeszcze nie zdarzyła się i zapewne nie prędko powtórzy się taka dziejowa doba, w którejby osobiste ambicye, duch fakcyi, polityczne kabały i konspiracye, miały tak łatwe i tak szeroko otwarte pole przed sobą.

Wśród takiego usposobienia kraju wypłynął z wyborów w miejsce Białego komitet nowy, z siedmiu składający się członków a poźniej także Białym nazwany. *Honni soit qui mal y pense!* Był on złożony z ludzi najlepszej wiary i woli, których patriotyzm, duch poświęcenia i gotowość do wszelkich ofiar nie mogły ulegać żadnemu wątpieniu; ale miał on przed sobą niezmiernie twarde zadanie. Ażeby w położeniu ówczesnem — gdzie funduszów coraz mniej było, usposobienie kraju stawało się coraz gorszem, parcie Rządu Narodowego coraz silniejszem, napływ żywiołów rewolucyjnych coraz liczniejszym a opinija burzonej ciągle młodzieży coraz niecierpliwszą — odpowiedzieć temu trudnemu zadaniu, potrzeba było ludzi żelaznych. Co więcej, potrzeba było, ażeby ci ludzie mieli rewolucyjną energiję w celu wydobywania nowych sił z kraju — a zarazem zachowawczość kamienną w celu niedopuszczenia żywiołów rewolucyjnych do wpływów na organizacyę kraju i utrzymania kraju na stanowisku świadomem siebie i niezawisłem. Niewiem zaprawdę, ażali w całym kraju mogło się znaleźć siedmiu ludzi moralnie tak silnych a zarazem tak zdolnych, ażeby potrafili byli w zupełności odpowiedzieć temu dwoistemu zadaniu.

W miejsce Komitetu miejskiego utworzono jakąś delegacyę, z początku z kilkunastu członków złożoną, która miała wyżspomnianemu komitetowi ulegać, której jednak ten komitet wcale nie ujął i niezorganizował, zostawiając przeto i ją, i mieszczan, i miasto całe, na łup żywiołom stanowczo rewolucyjnym, bądź w miejscu się znajdującym, bądź z innych prowincyi przybyłym.

Żywiołom tym należy przypatrzyć się z bliska: bo one ujęły niebawem potem władzę nad całem miastem w swe ręce i uzyskały choć nie *de jure*, ale *de facto* moralną przewagę nad tymi, którzy kierowali politycznym ruchem całego kraju.

XII.

Tak Rząd Narodowy, we wszystkich swych przejściach i składach jak wszystkie komitety i władze, gdziekolwiek czynne podczas ostatniego powstania, przyjęły były, nie zasadę, ale obyczaj postępowania, który wprawdzie niemal we wszystkich powtarzał się rewolucyach, dopóki nie zaczęły grać trybunały tajemne, lecz który niemniej przeto, zawsze i wszędzie, samymże rewolucyom daleko więcej przynosił szkody, niżeli trybunały i gilotyny. Ten obyczaj postępowania możnaby nazwać krótkiemi słowy: *Promoveatur, ut amoveatur.* To znaczy: jeżeli ten lub ów członek rewolucyjnej organizacyi nie chciał ulegać większości i za pomocą, bądź agitacyi ulicznej, bądź kabał tajemnych, usiłował przeważyć z swem zdaniem, a przytem zręczność, upór, energija, zuchwałość lub gwałtowność temperamentu, czyniły go rzeczywiście niebespiecznym, natenczas dawano mu jakieś posłannictwo z urzędu, aby go od siebie oddalić. Od Organizatora sił zbrojnych za granicami kraju, przez wszystkich ajentów dyplomatycznych, komisarzy zwyczajnych i nadzwyczajnych, aż do prostych kuryerów, mieliśmy z takiego powodu mianowanych urzędników daleko więcej, niżeli się ktokolwiek niewtajemniczony w wewnętrzne stosunki organizacyi może spodziewać.

Pod koniec lata, kiedy pewna frakcya zaczęła coraz gwałtowniej wdzierać się do Rządu Narodowego w Warszawie, wydano tego rodzaju promocyi niezmiernie wiele i rozesłano tym sposobem mnóstwo najgwałtowniejszych i — że tu użyję ściśle odpowiedniego wyrazu — najnieznośniejszych subjektów po za granice królestwa. Zasyłanie to w taką dyplomatyczną emigracyę było pod owe czasy tak gęstem, że nieraz w przeciągu bardzo krótkiego czasu przybywało na jeden urząd trzech i czterech i więcej takich zasłańców, i wszyscy mieli jednakowe upoważnienia. Takich ludzi przybyło wówczas także nie mało do Lwowa. Celem ich jawnym było: zaprowadzenie nowej organizacyi po miastach; tajnym zaś, lubo nie koniecznie tajonym: podminowanie i obalenie całej organizacyi istniejącej naówczas w wschodniej Galicyi i i owładnięcie całego kraju.

O ile te upoważnienia były rzeczywiste lub podrabiane? którzy z tych wysłanników byli przez Rząd Narodowy, a którzy przez frakcyę dopiero do władzy dążącą wysłani? to było rzeczą wcale niejasną naówczas — a teraz pozostanie już tajemnicą na zawsze.

Oprócz tych wysłanników niby upoważnionych, przybyło przed nimi, za nimi i z nimi, mnóstwo innych tak samo wiatronogich indywiduów, którzy nie jako niebespieczni usunięci zostali, lecz przed niebez-

pieczeństwem sami się usunęli, ale właśnie dlatego, że celu żadnego niemieli, przyczepili się do tamtych niby upoważnionych i jako ich pomocnicy przy ich boku stanęli. To dawało im pewną polityczną postawę.

Nareszcie nie brakowało i w samym Lwowie, pod względem politycznych przekonań, jednogniezdnych z nimi żywiołów. Rewolucyoniści z zasady, demagogowie z powołania, agitatorowie z rzemiosła, niedołęgi z rodu albo lenistwa, którzy dotychczas jeszcze nie mogli lub nie umieli się dostać do władzy a tak gorąco się do niej dostać pragnęli, że oprócz własnego życia i zdrowia gotowi byli wszystko dla jej otrzymania poświęcić — z jednej strony; z drugiej zaś zapaleni patrioci cudzym kosztem, bezczelni werbunkowicze, którzy nie mieli już kogo werbować a sami iść w ogień nie chcieli, wysłużeni żołnierze, którzy po kilkodniowej służbie wojskowej pragnęli zasiąść na kilkoletnich urzędach cywilnych, rewolucyjni tchórze, którzy na dnie swej duszy nie pragnęli niczego więcej jak tylko spokoju, ale ze strachu przed czerwonymi na całe gardło przeciwko wszystkim komitetom krzyczeli i najczerwieńszym bakę świecili: oto gotowy materiał, który ci nowi organizatorowie na bruku lwowskim znaleźli i z którym w oka mgnieniu w braterskim się połączyli uścisku.

Aczkolwiek u ludzi tego politycznego miotu nigdy nie miałem popularności a nawet już dla moich szlacheckich powieści byłem przez nich miany za arystokratę: jednak moje dość głośne w literaturze nazwisko, jeszcze głośniejsze, bo świeższe więzienie, mój udział w organizacyi miejskiej a wreszcie może wzgląd na to, że prądy rewolucyjne nawet i najchłodniejszych porywają ze sobą — wszystko to razem sprawiło, iż te napływowe żywioły z początku bardzo blisko się o mnie otarły, a nawet nie bez pewnych zamiarów, o których wspomnę poniżej.

Miewałem zatem z nimi i długie i szczegółowe rozmowy, po których mi wszakże zazwyczaj niezmiernie ckliwe pozostawało wrażenie.

W rewolucyach społecznych a nawet polityczno-społecznych każdy jest na to przygotowanym, że obaczy występnjących na scenę Maratów i Robespierrów; lecz w narodowem powstaniu takie charaktery są niezawodnym znakiem upadku sprawy — a zawsze i wszędzie tylko obrzydzenie brać może na widok zaślepionych półgłówków, ubierających się w pozostałe z Maratów i Robespierrów łachmany.

Poznawszy nareszcie dokładnie tych nowych organizatorów, powiedziałem sobie stanowczo: z tymi ludźmi nie będę miał nic do czynienia.

XIII.

Od początku powstania przypadło mnie jedno zajęcie, którego nikt inny podjąć się nie chciał a może i nie mógł, o którem zresztą nawet i nie myślano. Zajęciem tem — a wiadomo dzisiaj powszechnie, jak było ważnem dla sprawy publicznej—było utrzymywanie stosunków z dziennikarstwem europejskiem. Widząc od razu, jak potężnym a zarazem i chętnym sprzymierzeńcem dla sprawy polskiej jest prasa europejska, znając z czasów dawniejszych jej stosunki i usposobienia i mając przytem jąkąkolwiek znajomość obcych języków — lubo od nikogo do tego ani wzywany, ani upoważniony — wziąłem z własnego popędu tę rolę na siebie i wypełniałem jej obowiązki, niewiem z jakim pożytkiem, lecz z takim skutkiem: że kiedy mi poźniej wypadło przejechać wszerz Europę, za pracę tę znalazłem w obczyźnie niejeden wyraz wdzięczności, a nawet więcej, bo wdzięczność ta otworzyła mi w trudnem pomiędzy obcymi istnieniu drogi i środki do dalszej pracy.

W miesiącu Sierpniu przyjechał Nadzwyczajny komisarz Rządu Narodowego do Lwowa, zachęcił mnie do dalszego prowadzenia tej pracy, dał mi urzędowe upoważnienie i otworzył nowe stosunki z Ajencyami dyplomatycznemi za granicą. Oswobodzony wówczas od innych zatrudnień, rozrzeszyłem znacznie te pracę — i mogę to powiedzieć bez sromu, że tem zajęciem, nie wkładającem na mnie żadnej odpowiedzialności za dalszy szafunek grosza i krwić a przynoszącem, choć może drobny, lecz niewątpliwy dla sprawy powszechnej pożytek, byłem zupełnie zadowolony.

Wszelako jeszcze i tę odosobnionę pracę przerywały mi niejednokrotnie nastręczające się inne zajęcia.

I tak pod koniec miesiąca Sierpnia albo z początkiem Września — tej daty nie pamiętam już dzisiaj dokładnie —przyszli do mnie dwaj młodzi ludzie, zajmujący się nową organizacyą miasta, i zaproponowali mi: ażebym zorganizował Narodową policyę i objął jej naczelnictwo; a jeśli tego nie zechcę, abym przynajmniej do tej organizacyi dopomógł. Jeżeli dobrze zrozumiałem powody i cel tej propozycyi, to była-to rzecz taka: iż miejscowe a zacniejsze żywioły rewolucyjne, przeczuwając niebespieczeństwa wyniknąć mogące z oddania przewagi organizatorom przybyłym z prowincyi innych, chciały naówczas przeciwstawić im, jeśli nie całkiem już gotową organizacyę miejską, to przynajmniej pewną siłę moralną, mogącą z ich strony równowagę utrzymać. Taki był cel tej propozycyi.

Niemniej przeto sprawiła ona na mnie smutne wrażenie.

Nie widzę już dzisiaj potrzeby obwijania tej drażliwej sprawy w bawełnę. Zapatrywanie się moje na stanowisko polityczne, jakie Galicya w obec powstania zająć i do końca zachować była powinna, wypowiedziałem dokładnie powyżej. Z tego zapatrywania się wynika, iż musiałem być z góry przeciwnym wszelkim rozgałęzionym organizacyom miast, a mianowicie organizacyom takim, których sam szemat wskazywał, że nie będą organizacyami, lecz po prostu konspiracyami, a które, czy z wolą, czy mimo woli, muszą się w końcu zapłodnić duchem stanowczo rewolucyjnym.

Dlatego owym młodzieńcom, którzy mi proponowali tylko zorganizowanie niewinnej na pozór a tak niby-potrzebnej Narodowej policyi, odpowiedziałem: Że zorganizowania i miasta i Narodowej policyi podejmę się, ale do tego potrzeba:

po pierwrze, ażeby Rząd Narodowy postanowił podnieść rewolucyą w Galicyi przeciwko Austryi;

a powtóre, ażebym ja osobiście zgodził się na to, że taka rewolucya jest politycznie potrzebną;

ponieważ zaś dotąd, o ile wiem, Rząd Narodowy jeszcze nie powziął takiego postanowienia, więc w każdym razie rozmowa o tem jest jeszcze przedwczesną.

W dalszej konwersacyi o tym przedmiocie usiłowałem z całą jasnością pojęć, na jaką mogłem się zdobyć, wyłożyć tym młodzieńcom całe położenie kraju i określić im tę zgubną rolę, jaką w dalszym jego losów rozwoju biorą na siebie. Przedstawiałem im, że rosprzestrzeniając organizacyę konspiracyjną a jeszcze do tego pod przewodnictwem konspiratorów z powołania, nie tylko wszelkiego rozumnego celu chybiają, ale idą na oślep wprost przeciw celom sprawy narodowej rozwiniętej w Królestwie; że zniewalając Rząd do represyi, zatykają tem samem wojnie toczącej się w zaborze rossyjskim ostatnie źródła pomocy; że takiem postępowaniem nareszcie prowadzą kraj na strome brzegi nieprzewidzianych nieszczęść a siebie samych do zguby.

Te konwersacye powtarzały się jeszcze potem niejednokrotnie.

Ale wszystkie trzezwe rozumowania były już wtenczas głosem wołającego na puszczy. Gdyby Jan Złotousty był zalał całe miasto strumieniami swojej porywającej wymowy, nie byłby skruszył nikogo. Rozgrzana do najwyższego stopnia wyobraźnia, tworząca najpotworniejsze hallucynacye i porywająca jak orkan wszystkie umysły ze sobą, oślepiła oczy i przytępiła rozumy. Przekonałem się wkrótce, że do tych ludzi szkoda tracić jednego słowa.

Lecz i oni się przekonali, że mnie ze sobą nie porwą. Nie utrzymuję, żeby mi to pomiędzy nimi zawiętych stworzyło wrogów, bo o tem niewiem z pewnością; ale to pewna, że od tego czasu zaczęli mnie uważać za swego przeciwnika.

XIV.

W biegu miesiąca Września znieniło się znowu położenie sprawy publicznej.

Przed dwoma miesiącami stało się było rzeczą widoczną, że Galicya nie zdola już przynieść powstaniu skutecznej pomocy: teraz okazało się, że i Europa mu już nie pomoże.

Ostatnia odpowiedź X. Gorczakowa na ostatnie noty trzech mocarstw przemówiła głosem stanowczym i nieodwołalnym. Anglija i Austrya już się były po drugiej odpowiedzi zachwiały: teraz się Francya zachwiała. A jak tylko do kilku tygodni po tym dyplomatycznym policzku jaki wymierzono jej z Petersburga, nie odwołała swego ambasadora, to nie mogło ulegać żadnemu wątpieniu, że i ona się już cofnęła. Akcya interwencyi była już przeto skończoną.

Jednocześnie na polu walki zaczęła się szala losu stanowczo przeważać na stronę Rossyi. Wszystkie ziemie Królestwa przygniotły ogromne siły wojskowe. Oddziały powstańcze porzuciły już rolę zaczepną, nie wszędzie nawet mogły się utrzymać przy roli obronnej — i po największej części już tylko się kryły. Rząd Narodowy już po upadku wypraw Komorowskiej i Radziwiłowskiej, widząc że pomoc galicyjska jest bezskuteczną a mając kraj wyczerpany przed sobą, zaczął był podupadać na duchu. Ostatnia Petersburgska odpowiedź i cofnięcie się mocarstw zachodnich wzruszyły jego własną wiarę w jej najgłębszych podstawach. Rząd Narodowy zachwiał się sam w swojej energii i wierze. Garstka ludzi gorących i rospaczliwie odważnych, widząc to omdlenie władzy najwyższej, wybuchnęła rewolucyą wewnętrzną. Uderzyła ona na Gubernatora Warszawy, wzruszyła ludność miasta nowym zapałem, obaliła istniejącą dotychczas najwyższą władzę rewolucyjną i utworzyła nowy Rząd Narodowy. Ale pod uderzeniem tego zamachu spłonęły tylko pałace Zamoyskich — i zgasły; wyrzuciła się na wierzch nowa władza rewolucyjna — i wkrótce także omdlała. Duch już zaczął upadać; kraj już był wyczerpany; wszystkie widoki zewnętrzne zniknęły: stwarzać siły z niczego, to tylko w Boskiej jest mocy. Być może, że Wrześniowy Rząd Narodowy był istotnie mniej zaradnym od swych poprzedników; lecz gdyby był nawet był zaradniejszym od wszystkich, z tych materiałów, jakie jeszcze mógł z kraju wydobyć, jużby był nie zdołał utworzyć nowego powstania. Mógł tylko jeszcze bezładną ubijatykę w kraju przedłużać; lecz już bez nadziei zwycięstwa.

W tym stanie rzeczy, jedyną myślą, jaka jeszcze poważniejsze umysły mogła zajmować, była ta: że może wojna partyzancka, choć słaba, da się jeszcze przeciągnąć przez jesień i zimę — a jeżeli istotnie dotrwa

do wiosny i okaże kraj w stanie rewolucyjnym, to może narodowa ambicya Francyi przecież się zbudzi i popchnie rząd, i porwie inne mocarstwa do czynu.

Kto jeszcze nie mógł oddać się rospaczy, musiał się żywić i taką nadzieją.

Tymczasem Galicya, nie trozsząc się bynajmniej o żadne polityczne widoki, szła naprzód na oślep olbrzymiemi krokami. Zaprowadzono ścisłą i szeroko rozgałęzioną organizacyę w mieście, utworzono Narodową policyę, ustanowiono nawet narodowych żandarmów — a duch czysto-rewolucyjny, który te instytucye przejmował, tak dlece zterroryzował ludność, że każdy się poczuł do obowiąsku posłuszeństwa a nawet najprzeciwniejsi takiemu ruchowi ograniczyli się na zachowaniu się biernem. Komitet Biały, opierający się na organizacyi prowincyonalnej, tylko bardzo słaby stawił opór tej władzy; prócz tego organizacya miejska, mając niemal we wszysfkich powiatach swych popleczników, rosprzestrzeniała po za plecyma Komitetu swą władzę — a tym sposobem terorystyczne jej w pływy niemal po całym rosciągały się kraju.

Dziwna rzecz! całą tę władzę stworzyło i cały ster jej wyłącznie w swych ręku trzymało kilkunastu ludzi tak niskiej pod każdym względem wartości moralnej, iż w regularnym organizmie państwowym zaledwieby mogli wypełniać jaknajniższe urzędy. Lecz mieli oni oparcie w Rządzie Narodowym ówczesnym.

Rząd Narodowy, z kogokolwiek wtedy się składał, położenie, tak Królestwa, jak i Galicyi, doskonale rozumiał. Widział on dobrze, że Królestwo, prócz ludzi zdatnych do broni, prawie nic więcej ze siebie nie wydobędzie; że Litwa już ostatkami oddycha; że prowincye zabrane stanowczo skończyły swą rolę; że Xięstwo poznańskie oddało już wszystkie swoje zasoby — a przeto, że dalsze utrzymywanie powstania może się już tylko na Galicyi opierać. I widział zarazem, że Galicya wprawdzie już także jest wyczerpaną, ale dopiero w tej mierze, w jakiej ją mógł spokojny patriotyzm wyczerpnąć: wszelako rewolucyjny terroryzm mógł z niej jeszcze wiele wydobyć. To też według tego zapatrywania się urządził on swoje postępowanie z Galicyą. Postępawanie zaś to leżało w tem: iż wysłał najpierw' zręcznych konspiratorów rewolucyjnych, ażeby organizacyę Galicyi na drodze czynu natchnęli duchem rewolucyjno-terrorystycznym i starali się ją ile możności owładnąć — a oprócz tego wytężył wszystkie swe siły, ażeby Komitet galicyjski, jako najwyższą władzę, że tak powiem, na drodze legalnej, pod swoje bezwarunkowe podgarnąć roskazy. Organizatorowie przeto, z Warszawy do Lwowa przybyli, czy upoważnieni przez Rząd Narodowy, czy nie mający żadnego upoważnienia, lecz działający w wyż określonym kierunku i duchu z wiedzą lub mimo wiedzy, mieli w ówczesnem położeniu we wszystkich swoich czynnościach silne w tym Rządzie oparcie. Stąd taka łatwość w znalezieniu odgłosu, stąd takie szybkie i tak zupełne ich przyjście do władzy.

XV.

Rząd Narodowy — jak skoro nie mógł zdobyć się na to, ażeby wówczas publicznie wydanym dekretem zbrojne powstanie zakończyć a całą winę upadku sprawy polskiej zwalić na interweniujące mocarstwa, coby było czynem głębokiego politycznego znaczenia i niewątpliwego dla sprawy pożytku — to postąpił całkiem logicznie, że takie zajął stanowisko względem Galicyi. Wystawiał on wprawdzie przez to prowincyę na to niebespieczeństwo, że w razie nieszczęśliwego zakończenia sprawy narodowej będzie musiała znieść zwykłą w takich wypadkach repressyę; ale otwierał za to sobie ten widok, że za jej pomocą potrafi do wiosny utrzymać powstanie. Przyjąwszy cel, a zapatrując się na tę kwestyę z politycznego punktu widzenia, nie można żadną miarą naganić środka: bo zawsze wolno jest ręką zasłonić głowę — a że głową sprawy polskiej jest i pozostanie na zawsze Królestwo, o tem niema wątpienia Przeciwko temu postępkowi zatem nie można nic powiedzieć w zasadzie.

Ale w sprawach politycznych cała wartość zasady zależy wyłącznie od jej wykonania.

A wykonanie tej zasady było najgorsze, i nie mogło osięgnąć zamierzonego celu.

Wykonanie to nie mogło dlatego osięgnąć zamierzonego celu, iż powierzone było kierownikom takim, którzy może byli dość energiczni i zręczni, ale nietylko politycznym rozumem nie stali na wysokości swego posłannictwa, lecz oprócz tego jeszcze nie mieli w sobie żadnej moralnej wartości. W czasach rewolucyjnych, uniesienie i zapał potęgują częstokroć w sposób cudowny słabe z natury umysłowe zdolności i zastępują do pewnego stopnia rozum i wykształcenie. Ale sumienia i uczuć moralnych żaden zapał zastąpić nie zdoła. Owszem przeciwnie, potęguje on jeszcze niemoralne namiętności i z ludzi tylko wystepnych robi częstokroć wcale niezwykłych zbrodniarzy.

Jakiego sumienia i jakiej moralnej wartości są kierownicy, takiemi zazwyczaj bywają i dobierane przez nich narzędzia: jakoż istotnie, przechodzi wszelkie pojęcie, do jakiego stopnia ograniczonych i moralnie sponiewieranych ludzi można było widzieć sprawujących urzędy pod roskazami tych nowych organizatorów stolicy.

Stąd poszło, iż lubo nowa organizacya miejska została przeprowadzoną dość ściśle a nawet w swoim sposobie dosyć praktycznie, i lubo opierała się w znaczniejszej części na zacnych skądinnąd mieszczanach i równie zacnej młodzieży, jednak duch w niej wiejący, nietylko że nie

był wcale patriotycznym w szlachetnem tego słowa pojęciu, tylko społeczno-rewolucyjnym w niezmiernie płaskiem tej dążności znaczeniu, ale co gorsza, był on z gruntu niemoralnym, rozwiozłym i bezsumiennym. Stekiem zaś pojęć ciasnych i wykrzywionych, uczuć przewrotnych, bezmyślnego naśladownictwa niezrozumianych wzorów rewolucyjnych, zaściankowych dążności, osobistych zawiści i brudnych namiętności, stała się tak zwana Narodowa policya.

Jaki duch instytucyi, takiemi też były jej czyny. Organizacya miejska wybierała wprawdzie podatki, rospisywała kwatery i dostarczała żywności: ale kto zjadał tę żywność, kto się lubieżnie wysypiał po wygodnych kwaterach, kto i w jakie sposoby spożywał podatkowe dochody, to było tajemnicą stanu chowaną jaknajstaranniej przez samych szefów organizacyi. Narodowa policya, złożona z urzędników jawnych i tajnych i z całej chmury urzędowego i dobrowolnego szpiegowstwa, szpiegowała przed wszystkiem innem członków organizacyi białej, potem wysłanników Rządu Narodowego i przybywających kuryerów, potem członków swych własnych, a wreszcie wszystkich mieszkańców bez różnicy urzędu, wieku i płci — i płci, bo płeć była przedmiotem jaknajtroskliwszej opieki członków tej instytucyi. Narodowa policya — i któż tego nie pomięta do dziś dnia? — stroiła najwszeteczniejsze kabały przeciwko organizacyi białej, jedynemu naówczas ciału, które jeszcze mogło jakąkolwiek pomoc przynieść powstaniu; podkopywała potwarzami i oszczerstwami znaczenie i wpływy najpoważniejszych ludzi; wślizgiwała się w domy i pomiędzy rodziny: burząc żony przeciwko mężom, synów przeciwko ojcom, sługi przeciwko panom, podwładnych przeciwko ich przełożonym, zaszczepiając wszędzie nieufność i podejrzliwość, rozbudzając złości i nienawiści, i rosprzęgając tym strojem zwolna, jak kwas rosczyniający, wszystkie węzły społeczne. Osobliwsze zaprawdę było to widowisko: piekielny sabat roskiełzanych żywiołów, w pośród którego duch żywy bezładu, ubrawszy się w kartonowe znamiona władzy i ująwszy wężowy bicz jadu w prawicę, zakasał rękawy swej obłoconej purpury, ażeby nowy zaprowadzić porządek!

W drugim kierunku wykonania przyjętej względem Galicyi dążności, Rząd Narodowy ówczesny także już nie był w stanie zamierzonego celu osięgnąć. Albowiem chcąc organizacyę białą pod swoją władzę podgarnąć, przysyłał w tym celu takich ludzi do Lwowa, którzy ani przeczucia nie mieli, czem być powinien rewolucyjny komisarz. Nie chcę im bynajmniej ujmować nic jako ludziom, nawet nic jako Polakom; nie wątpię, że byli zawsze najlepszej wiary i woli: lecz z tak pierwiastkowem wykształceniem rozumu i z tak niejasnemi pojęciami nawet własnych swych obowiąsków, z jakiemi się zwykle już na pierwszym kroku zdradzali, nie można było żadnej politycznej missyi wypełnić Pochwytane bez ładu jakieś rewolucyjne idee i trochę rewolucyjnego

absolutyzmu, choćby do tego był w ręku dokument z jaknajwiększą pieczęcią, to na władzcę Galicyi w każdym wypadku za mało. Stąd poszło, iż zamiast mocą moralnej przewagi podbić organizacyę białą, albo w braku przewagi w rozumne wejść z nią układy, ludzie ci uwikłali się z nią w nieskończone zatargi, dla których — przy niedostatecznej sile zaczepnej czerwonego stronnictwa, na którem zwykle się opierali, a wcale jeszcze dostatecznej sile odpornej komitetu białego — żadnego wyjścia, ni końca nie było. Wywiązały się przeto stąd tylko ciągle kipiące tarcia i spory, które zużywały bespożytecznie siły moralne i materialne, roznosiły niezmiernie wiele zgorszenia pomiędzy przeznaczone do boju żywioły i demoralizowały tak samo społeczeństwo u góry, jak je już organizacya miejska zdemoralizowała u dołu.

Wewnętrzne te waśnie przy rozżarzonych wówczas namiętnościach dochodziły często do takich ze strony czerwonego stronnictwa wybuchów, że można się było jaknajsmutniejszych a nawet krwawych obawiać wypadków. To też była istotnie chwila — i zapewne ją każdy w żywej zachowuje pamięci — kiedy stronnictwo czerwone, rozjątrzone do najwyższego stopnia oporem komitetu białego, zaczęło było głośno grozić nożami. I w ślad za potwarzami i oszczerstwami, roznoszonemi pędem błyskawicy po kawiarniach i schadzkach, poszła głucha wieść między Narodową policyę i żandarmeryę, że stronnictwo rewolucyjne tylko po trupach przyjść może do władzy. Pod owe czasy, raz około północy, w jednej z wałowych alei, sam byłem świadkiem, jak jeden z tajnych przywódzców organizacyi czerwonej, mając przy swoim boku dyrektora Narodowej policyi, drżącemi od miotających nim namiętności wargami, głosem tępym, zaledwie wydobywającym się z piersi zatkanej krwiogorzem, zagroził kilku przechadzającym się tamże stronnikom organizacyi białej: „że jeżeli Komitet ten nie ustąpi, to trzech jego członków zostanie zabitych.“

Przy takiem rozjątrzeniu umysłów i takiem rosprzężeniu wszystkich węzłów moralnych, było rzeczą widoczną, że bez ofiar się obejść nie może — lubo zapewne nie łatwo było odgadnąć, w jaki sposób ci albo owi padną tych waśni ofiarą.

XVI.

Ja stałem wówczas zupełnie po za obrębem tej wojny domowej i po za obrębem wszelkich organizacyi. Miałem wprawdzie w całości narodowego ruchu stanowisko urzędowe, lecz należałem, że tak powiem, do wydziału spraw zagranicznych.

Z organizacyą krajową miałem tylko o tyle jakieś stosunki, o ile temu albo owemu urzędnikowi podobało się przyjść do mnie do bióra i podać mi tę albo ową wiadomość, w celu przesłania jej tej albo owej

Ajencyi, albo zrobienia z niej w dziennikarstwie odpowiedniego użytku. Zresztą wiązały mnie z członkami organizacyi tylko stosunki prywatne, których wcale zmieniać nie zamierzałem. Postanowienie moje nie zajmowania żadnego stanowiska w organizacyi wewnętrznej było wtedy tem jeszcze silniejsze, ile że bezustannie trzezwemi patrzałem oczyma na to wszystko, co się działo przedemną a co do wzięcia udziału wcale mnie kusić nie mogło.

Toż kiedy jeden z komisarzy Rządu Narodowego udał się do mnie, ażalibym nie chciał pośredniczyć w sporze pomiędzy nim a członkami organizacyi białej chętnie robiłem, co mógłem, ażeby przyprowadzić do zgody, lubo takowa pod temi warunkami nie była możebną. Lecz kiedy Czerwoni, mniemając jeszcze, że się o zajęcie jakiegoś wyższego stanowiska pokuszę, zapytali mnie przez jednego z swoich głównych przywódzców, ażalibym przyjął w nowej organizacyi prowincyonalnej urząd Naczelnika nad trzema obwodami; odpowiedziałem wprost, że żadnego urzędu nie przyjmę.

Lecz wówczas właśnie skąd innąd inną zrobiono mi propozycyę.

Naczelny Komisarz Rządu Narodowego na całą Galicyę, rezydujący w Krakowie a znany powszechnie pod nazwiskiem Żaboklickiego, mając dokładne raporty o tem, co się działo we Lwowie, i widząc, że do bałamucenia uczuć, zamięszania pojęć i podniecania waśni wewnętrznych, znacznie przyczynia się dziennikarstwo miejscowe, które pomimo urzędowych, pisemnych i ustnych ostrzeżeń, wyłamywało się ciągle z pod zwierzchniego kierunku i forytowało stronnicze dążności, postanowił był utworzyć centralne bióro prasowe we Lwowie, którego głównem zadaniem miało być nadzorowanie prasy periodycznej po za granicami rossyjskiego zaboru, nadawanie dziennikarstwu galicyjskiemu jednostajnego kierunku a zarazem dostarczanie potrzebnych materiałów prasie zagranicznej. Jednocześnie podniesioną została myśl założenia politycznego dziennika we Lwowie, który miał w pewnej mierze być organem Rządu Narodowego. Do ułożenia odpowiedniego zamiarom tym planu i wprowadzenia go w życie postanowił on wezwać, oprócz mnie, jeszcze dwóch polskich pisarzy, z których jeden bawił podówczas w Dreźnie a drugi w Paryżu. Wezwanie, wystosowane do mnie, doszło mnie w Październiku.

Propozycyę tę wziąłem pod dokładniejszą rozwagę. Zbrojne powstanie samo w sobie nie miało już wtedy, mojem zdaniem, żadnych widoków; lecz sprawa polska, jak już wspomniałem powyżej, mogła mieć jeszcze jakąkolwiek nadzieję. Nadzieję tę mowa tronowa, powiedziana podówczas przez Cesarza Napoleona, przy otwarciu Ciał prawodawczych, silnie znów pokrzepiła i podniosła prawie do znaczenia widoku. W tem położeniu rzeczy, gdzie naród w swoim insurrekcyjnym ruchu nie mógł się ani cofnąć ani zatrzymać, tylko musiał iść naprzód

dopóki mu jeszcze sił wystarczalo, wolno było w tę nadzieję wierzyć albo nie wierzyć, wolno było popierać ją lub nie popierać, ale nie wolno było jej narodowi odbierać. To też najniewierniejsi wówczas milczeli; obowiąskiem zaś każdego dobrego patrioty było wznieść się nad błędy i zboczenia, w jakie popadła była organizacya wewnętrzna, wznieść się nad nie jako nad złe, któremu nie można było zaradzić a które towarzyszy zazwyczaj wszystkim rewolucyom upadającym, a swoją drogą przyczyniać się wedle sił swoich do utrzymania dobrego ducha w narodzie i jaknajlepszej o nim opinii za granicami ojczyzny. Takiemi przekonaniami wiedziony, posłałem do Krakowa odpowiedź, że gotów jestem do oddania mojego pióra na usługi sprawy publicznej i na każde wezwanie przyjadę.

Wszelako o ile wiem, powzięty zamiar założenia bióra prasowego i nowego dziennika we Lwowie doszedł natychmiast do wiadomości Narodowej policyi — i wcale się jej nie podobał: raz dlatego, że miała ona w jednym z dzienników swój organ, którego nie chciałaby była poddawać pod nadzór a nadto jeszcze na konkurrencyę wystawiać; a powtóre dlatego, że ja zostałem powołany do składu dyrekcyi tych nowych zakładów. Znając dokładnie miejscowe stosunki i wszystkie dziennikarskie zazdrości i nienawiści, nie mógłem nie przewidywać, że wynikną zapewne z tego powodu dla mnie przynajmniej tak nieprzyjemne starcia i spory, przez jakie już raz przechodziłem: lecz, słusznie czy niesłusznie, nie przywięzywałem do tej okoliczności żadnego znaczenia.

Cóżkolwiekbędź, właśnie w tym czasie, zaszedł był pierwszy wypadek, który dał mnie do zrozumienia, że Narodowa policya zaczęła się mną bardzo zbliska zajmować. Oto służący mój zauważał, że od kilku dni, to w sieni tej kamienicy, w której miezkałem, to pod mojemi oknami, staje dwóch młodych ludzi, i zdaje się po nich, jakoby jakąś straż odprawiali. Kazałem sobie dać znać, jak tych ludzi znowu obaczy — a jak tylko przyszli, dość mi było raz na nich rzucić okiem, ażeby poznać, że to są narodowi żandarmi stojący rzeczywiście na straży. Nic w tem nie było dziwnego: takie straże stawiano naówczas po bardzo wielu miejscach i z najrozmaitszych powodów. Jednakże zawsze obudziło to moją ciekawość, dlaczego tą straż tutaj stawała, gdzie, o ile wiedziałem, nie było nic do nadzorowania. Zapytałem o to natychmiast Narodową policyę.

Odpowiedziano mi, że ta straż nie odnosi sie wcale do tego domu, w którym ja mieszkam, tylko nadzoruje dom inny w sąsiedztwie, w którym odbywają się posiedzenia. Spostrzegłem natychmiast, że coś tu skłamano, bo ta straż stawała najczęściej w sieniach mojego domu, skąd nie można było widzieć żadnego z tych domów, w których istotnie odbywały się posiedzenia.

Ale nie moją rzeczą było nauczać Narodową policyę, jak ma wypełniać swe obowiąski. Kazałem jej przeto tylko powiedzieć, ażeby nie stawiała straży w tym domu, w którym ja mieszkam, bo do tego domu przychodzili bardzo często członkowie Komitetu, dowódzcy oddziałów i Komisarze, a nierozumnie jest postawioną tam strażą zwracać uwagę policyi rządowej, co zresztą aż nadto często się wydarzało. Po tej uwadze zrobionej przezemnie tę straż natychmiast sciągnięto — a ja niebawem zapomniałem wcale o tym wypadku.

Ażaliż mógłem się wówczas choćby tylko przez sen domyślać, że od tego momentu, kiedy Nadzwyczajny Komisarz wezwał mnie do wzięcia udziału w założeniu bióra prasowego i nowego dziennika, Narodowa policya zaczęła rozsiewać przeciwko mnie podejrzenia a nawet mnie wzięła pod nadzór?

Nie zwracałem też dalej na to najmniejszej uwagi. Natomiast zaś wypracowałem projekt i program dla nowego dziennika i zacząłem notować myśli do głównych artykułów, z jakiemi w pierwszych numerach należało wystąpić. Jednocześnie, zastanawiając się nad tem wszystkiem, czemby sprawie narodowej w tem położeniu można być pomocnym, zastanawiając się mianowicie nad temi wszystkiewi drogami i środkami, jakie do tego celu stały otworem i jeszcze dotąd nie były użyte, ułożyłem kilka projektów do działań, jakieby można z pożytkiem dla rzeczy publicznej za granicą przedsięwziąć, i postanowiłem je komisarzowi przedłożyć a w danym razie przesłać z Krakowa do Rządu Narodowego.

Pod koniec Listopada nareszcie otrzymałem od Naczelnego komisarza wezwanie, ażebym przyjeżdżał — a dnia 3. Grudnia stanąłem w Krakowie.

XVII.

Odtąd zaczyna się jawnie wysnuwać cały szereg rzucanych na mnie podejrzeń, które w kształcie najrozmaitszich okoliczności i zdarzeń nadzwyczaj nagle zapadają jedne po drugich. Wypada mi je przeto opowiedzieć równie szybko i zwięźle, ale zarazem dokładnie, ażeby czytający tę xiążkę mógł cały ich obraz łatwo uchwycić i zachować w pamięci. Przystępując do tego opowiadania, ostrzegam jeszcze raz, iż wszystkie wypadki, które z kolei wytoczę, żadnemu nie ulegają wątpieniu, bo jak z jednej strony działy się w przytomności świadków, na których się powołuję, tak z drugiej opierają się na dokumentach, które w orygniałach posiadam.

Zaraz nazajutrz po moim do Krakowa przyjeździe zszedłem się z Żaboklickim w pomieszkaniu jednego z członków ówczesnego komitetu, czyli tak nazwanego Galicyjskiego Wydziału. Żabolicki zawia-

domił mnie przed wszystkiem innem, że ze wszystkich trzech wezwanych do załatwienia sprawy dziennika i bióra prasowego tylko ja jeden przyjechałem, albowiem ten, który mieszkał w Dreźnie, został przez rzadową policyę wróconym z Szczakowej, a ten, który mieszkał w Paryżu, uprzedził listownie, że podróż tę mógłby przedsięwziąć dopiero za kilka tygodni. Sprawa ta zatem natrafiła teraz na taką przeszkodę, na której usunięcie potrzeba było od miesiąca do sześciu tygodni czasu.

Przystąpiliśmy zatem do rospatrzenia się w sprawach innych, których projekty przywiózłem ze sobą. Żałuję bardzo, iż słuszne względy tak na osoby, jak i na rzeczy, których mojemu osobistemu interesowi poświęcać nie mogę, nie pozwalają mi ich bliżej określić.

W celu naradzenia się nad temi sprawami schodziłem się w przeciągu dwóch dni z Żaboklickim trzy razy. Stanęło nareszcie na tem, iż tych czterech do sześciu tygodni, które potrzeba było na ponowne porozumienie się względem spraw bióra prasowego przeczekać, powinienem użyć na podróż do Paryża i Londynu, w celu przekonania się, czyli i jak dalece przywiezione przezemnie projekty dadzą się urzeczywistnić. Dnia 3. Grudnia podróż moja została postanowioną — a dnia 6. miałem wyjechać.

Atoli do tej podróży potrzeba było dwóch rzeczy: najpierw, pewnej summy pieniędzy na wypadek, gdyby się ich użycie za granicą okazało potrzebnem; a powtóre, stosownego upoważnienia od Rządu Narodowego lub też od pełnomocnego Komisarza, którym był Żaboklicki. To oboje przyrzekł mi tenże przynieść dnia 6. Grudnia o godzinie drugiej po południu do mojego mieszkania.

Tymczasem odbywały się ciągłe posiedzenia Galicyjckiego Wydziału, na które przyjechali byli do Krakowa nazajutrz po mojem tamże przybyciu P. G. i Z. R., jako członkowie tegoż Wydziału na Wschodnią Galicyę. Czy sprawa mojej podróży była wniesioną na posiedzenie Wydziału, czy nie, tego nie wiem z pewnością: być jednak może, że nie, bo cel jej nie odnosił się do Galicyi, tylko do sprawy polskiej w całej jej objętości.

Dnia 6. Grudnia, około godziny dwunastej w południe, przyszli do mnie P. G. i Z. R., powracający właśnie z posiedzenia, i przynieśli mi wcale niespodziewaną nowinę. Oto Narodowa policya Lwowska przysłała denuncyacyę, rzucającą na mnie podejrzenie, jakobym pojechał był do Krakowa w tym celu, ażebym się porozumiewał z tamtejszemi austryackiemi władzami. Wyż wspomnieni członkowie Wydziału przynieśli mi nawet wycinek z przysłanego przez nią raportu, na którym były napisane następujące słowa:

„Przy rewizyi u Bogdanowicza we Lwowie wzięto adresy, pod „któremi Kaczkowski miał korespondować z Merklem. Z Kaczkowskim „trzeba się natychmiast załatwić.“

Nie umiem rzeczywiście opisać, jakie ten świstek sprawił na mnie wrażenie. Na pierwszy rzut oka zdawało mi się, że zachodzi tu jakaś pomyłka w nazwisku, bo nie mógłem dopuścić, ażeby nawet Narodowa policya śmiała rzucić na mnie tak zuchwałe oszczerstwo. Lecz do kogokolwiek się miała ta denuncyacya odnosić, to był oczywisty w niej bezsens. Pocóż bowiem ktoś miał się porozumiewać z prezydentem Rządu w Krakowie, mając taką samą władzę pod ręką we Lwowie? Prócz tego co do mnie, to wiedziano przecież dowodnie, po com do Krakowa przyjechał. Jakoż P. G. i Z. R. śmiali się tylko z tej denuncyacyi i powiedzieli mi, że ją czytano na posiedzeniu Wydziału, ale nikomu ani na myśl nie przyszło, przywięzywać do niej jakiekolwiek znaczenie, a natomiast postanowiono, dać za to policyi stosowną naganę.

Zapewne że tego się spodziewałem; ale przecież mnie to cokolwiek wzburzyło.

O godzinie drugiej przyszedł do mnie Żaboklicki. Jakkolwiek zaczął mówić o rzeczach innych, ja przedwszystkiem te denuncyacyę podniosłem i zrobiłem mu uwagę, że to jest obrzydliwość, dla której niemasz nazwiska, ażeby z najniższych zakątków narodowej organizacyi śmiano się targać na dobrą sławę ludzi takich, którzy całe życie strawili na usługach ojczyzny i mają przecież powszechnie uznane zasługi. Podniosłem zarazem myśl, że miałbym ochotę nie jechać wprost w moją podróż, tylko wrócić natychmiast do Lwowa — a jego prosić, ażeby wyznaczył komissyę, któraby doszła gruntownie powodów tej denuncyacyi, ukarała winnych i raz na zawsze ukróciła tę szatańską dążność do rozrzucania potwarzy. Po załatwieniu tej sprawy byłbym znów gotów do tej samej podróży.

Atoli Żaboklicki zupełnie innego był zdania. Powiedział on mi, że denuncyacya ta niema najmniejszego znaczenia i że nie warto na nią zwracać żadnej uwagi.

Nie pierwsza-to i nie ostatnia — mówił mi Żaboklicki — mam ja z tą Lwowską policyą nie mało kłopotu. Gdyby mi przyszło zwoływać komissye do wyjaśniania wszystkich denuncyacyi, jakie od nich otrzymuję, to-by mi nie stało czasu do żadnych innych zatrudnień. Jedź pan spokojnie w swoją drogę, a ja już im głowę zmyję za to oszczerstwo.

Tem oświadczeniem uspokoił on mnie zupełnie. Przystąpiliśmy zatem do załatwienia kwestyi mojej podróży. Co do niej powiedział mi. Naczelny Komisarz, że wprawdzie nie ma w tej chwili potrzebnych pieniedzy pod ręką i nie może wygotować w ten moment potrzebnych dla mnie papierów; chce jednak, ażebym bez zwłoki jechał i zatrzymał się w Wiedniu. Tym samym bowiem pociągiem wyjeżdża Z. R. do Wiednia i wręczy mi tamże pieniądze — a za dni kilka zostaną mi nadesłane papiery. Tym sposobem zyskam kilka dni czasu, których będę mógł użyć na rozmówienie się z dziennikarzami, z którymi jestem w korresponden-

cyach, i na pozawięzywanie stosunków, jakieby mi mogły być w mojej dalszej podróży potrzebne, kiedy czekając w Krakowie traciłbym czas zupełnie napróżno. Przeciwko temu programowi mojej podróży nie miałem nic do zarzucenia — i rzeczywiście dnia 6. Grudnia wyjechałem do Wiednia.

Tym samym pociągiem P. G. i Z. R. także wyjechali do Wiednia.

XVIII.

Dnia siódmego Grudnia nad ranem staneliśmy w Wiedniu. Dnia ósmego przed południem Z. R. wręczył mi 3000 Złr. w. a. na cele mojej podróży.

Tegoż samego dnia po południu otrzymałem list od L. W. członka Wydziału z Krakowa, który mi donosi, że „jego przyjaciel“ — to znaczyło wedle umowy: Naczelny Komisarz — nie mógł jeszcze wygotować wiadomych papierów, lecz je wyprawi z pewnością w piątek; prosi mnie zatem, ażebym się jeszcze aż do odebrania papierów zatrzymał w Wiedniu.

Tegoż samego dnia wieczór Z. R. wyjechał z powrotem do Krakowa

Dnia jedenastego Grudnia otrzymałem z Krakowa od Z. R. telegram, ażebym się w Wiedniu zatrzymał do Niedzieli.

Dnia dwunastego Grudnia otrzymałem list bezimienny, rzucony na pocztę w Krakowie. List ten był pisany charakterem widocznie zmienionym i jakoby zalanym, był zatem niezupełnie czytelnym. Z treści jego mógłem tylko tyle wyrozumieć, że policya Narodowa roznosi przeciw mnie agitacyę we Lwowie a zarazem zbiera przeciw mnie oskarzenia, aby je wyższym Władzom przedłożyć. Jako głównych podżegaczy tej agitacyi określono dwóch ludzi, których tu nie chcę wymieniać. Z jednego zwrotu w tym liście zdawało mi się, jakoby był pisanym we Lwowie. Zresztą całe to ostrzeżenie było dość ciemne i w ogóle tylko tyle mnie nauczyło, że denuncyacya do Krakowa przysłana prawdopodobnie nie będzie ostatnią.

Dnia trzynastego, w Niedzielę, o godzinie siódmej rano, kiedy jeszcze leżałem w łóżku, słyszę silne pukanie do drzwi. Otwieram i widzę Z. R., który prosto przyjechał z kolei.

Kiedym się na powrót położył do łóżka, Z. R. zawiadomił mnie, w dosyć długim wykładzie, że Narodowa policya Lwowska przysłała do Krakowa nowe przeciw mnie denuncyacye. Treść ich, według jego opowiadania, miała zawierać się w tem, jakobym pojechał do Wiednia w celu porozumiewania się z Ministrem policyi. Narodowa policya doniosła zarazem, iż posiada kopie depesz rządowych, na których opiera to po-

dejrzenie. Bliższych szczegołów tego nowego oskarzenia nie umiał mi udzielić.

Natomiast wszakże powiedział mi, ża ta denuncyacya została wziętą pod obrady Komitetu czyli Wydziału, że Wydział postanowił wrócić mnie z mojej podróży, wysadzić sąd do osądzenia tej sprawy we Lwowie i wzywa mnie niniejszem przez niego, ażebym się przed tenże sąd stawił do Lwowa — a przyjechawszy tamże, ażebym o tem zawiadomił Członka Wydziału P. G., który ma obowiązek złożenia sądu i przeprowadzenia całej tej sprawy.

Taka była, że tak powiem, urzędowa komunikacya, jaką mi Z. R. w dniu tym przywiózł ustnie z Krakowa. Skutkiem jej zwróciłem przedwszystkiem do jego rąk owe 3000 Złr., które przed kilką dniami otrzymałem od niego, i wydany przezemnie kwit odebrałem.

Zresztą — po dłuższej rozmowie prywatnej, w której napróżno usiłowaliśmy dociec, skąd się mogły wziąć te podejrzenia — zostałem sam, lecz już przepełniony tem smutnem przeczuciem: że przyjechawszy do Lwowa, jak z jednej strony zastanę niezmiernie zawziętych instygatorów i już w znacznej części uprzedzoną przeciw mnie opiniję publiczną, tak z drugiej wcale nie będę mógł liczyć na silne oparcie nawet i u tych, którzy w najbliższych żyjąc ze mną stosunkach, musieli mieć takie same jak ja przekonanie, że w tych wszystkich podejrzeniach, na czemkolwiek się opierały, ani cienia prawdy nie było. Jeżeli bowiem jeden z najbliższych przyjaciół nie umiał się zdobyć na więcej, jak tylko na odegranie względem mnie roli woźnego, doręczając mi pozew przed sąd, ażeby się potem usunąć: czegóż się mógłem spodziewać po innych? — Tem też więcej rozwagi i oględności wymagało moje dalsze postępowanie, zwłaszcza w tych czasach gdzie sfanatyzowanym do najwyższego stopnia i rozbłąkanym zupełnie żywiołom rewolucyjnym każdy krok nierozważny z mej strony mógł podać sposobność do popełnienia najzuchwalszego występku.

XIX.

Jakoż tego dnia, przed wszystkiem innem, pierwszem mojem usiłowaniem było, zdać sobie dokładną sprawę z tego położenia, w które mnie tak nagle i niespodzianie rzucono.

Zazwyczaj nie mglisto mam w głowie; co się pod wzrok moj podstawi, to widzę jasno; zawsze dokładnie rozróżniam przedmioty i zawsze zestawiam je z sobą, jak sądzę, w naturalnym porzadku. Przy natężonych pracach po nocy, przy wyobraźni jaknajmocniej rozgrzanej, kiedy wszystkie nerwy drzą w mnie jak struny rozigranego bardonu, mam zawsze całą świadomość siebie i jestem gotów na każde pytanie odpowiedzieć tak trzeźwo, jak gdybym dopiero-co z zimnej wyszedl kąpieli.

Lecz wtedy, przerzucony w jednem mrugnieniu oka z jednego krańca moralnego istnienia na drugi, przyznaję się, że nie umiałem sobie zdać jasno sprawy, gdzie się znajduję. Skąd się wzięły te podejrzenia? dlaczego je na mnie rzucono? jakim sposobem mogły tak przypaśdź do mnie, że aż sądu potrzeba, ażeby je zrzucić? — tego nie mógłem na razie zrozumieć. A tem mniej jeszcze postanowić, jak z tem wszystkiem sobie postąpić. Postanowiłem tedy na każdy wypadek jeszcze dobę zatrzymać się w Wiedniu, jeszcze dokładniej całe położenie rozważyć, a dopiero nazajutrz wieczór wyjechać do Lwowa.

Ale wypadki następowały już coraz naglej po sobie.

Dnia tegoż samego przed południem otrzymałem drugi list bezimienny, tym razem w Wiedniu tego samego dnia rano rzucony na pocztę.

Treść jego, aby ją w krótkich wyrazić słowach, była następująca: „Jesteś skazany na śmierć; ani do Lwowa nie jedź, ani tutaj się nie zatrzymuj, bo zginieiez we Lwowie i tutaj zginiesz. Wszystko już przygotowane do tego. Nie podawaj sposobności do popełnienia zbrodni, która najgorsze może wywołać skutki dla sprawy powszechnej. Miej cierpliwość, dopóki czas nie uspokoi umysłów. I w taki sposób trzeba się umieć poświęcić.“

To była mniej więcej treść owego listu. Lecz w owej chwili, w której nie umiałem się jeszcze wmyśleć w to położenie, i ten list jeszcze nie był dla mnie dość zrozumiałym. Czy rzeczywiście zapamiętałość zapędziła się tak daleko, że wyprawiono za mną żandarmów do Wiednia? czy tylko ta sama zapamiętałość chce mnie zastraszyć, ażebym nie wrócił do Lwowa i nie stanął przed sądem? — nie umiałem sobie odpowiedzieć na te pytania. Utwierdziłem się tylko w tem przekonaniu, że bez trzeźwego rozważenia wszystkich okoliczności nie powinienem zrobić ani jednego kroku.

Tymczasem jeszcze dnia tego samego, zaraz z południa, przyszedł do mnie jeden z młodych rodaków, czasowo przebywający w Wiedniu. Należał on, jak mi się sdaje, do najczerwieńszych, lecz znanym mi był od dawna jako człowiek dobrej wiary i woli, i pełen życzliwego usposobienia dla mnie. Zaczęliśmy z sobą rozmawiać. Konwersacya zpoczątku zawiła i ciemna. Domyśliłem się, że zapewne także z jakiemś ostrzeżeniem przychodzi. Dodałem mu zatem otuchy, sam wprowadziłem na tor pożądany. Otworzył się wreszcie cały przedemną i opowiedział, z czem przyszedł, co słyszał, co widział, co wiedział. Lecz wiedział on tylko o tyle więcej, niżeli powyższy list bezimienny, że rzeczywiście trzech żandarmów przyjechało do Wiednia, że nie byli wysłan za mną, tylko przyjechali przypadkiem udając się za granicę, ale że się nie wyrzekli swych funkcyi i mogą być przeciw mnie użyci.

Widokrąg mój zatem zaczął się najfatalniej zachmurzać; ale położenie się zaczynało wyjaśniać.

Nazajutrz rano, mimo tych srogich żandarmów, którymi mi tak zewsząd grożono, poszedłem odszukać znajomych. Obradował naówczas Reichsrath Wiedeński, zasiadali na jego ławach posłowie polscy, wszyscy mi mniej albo więcej znajomi; było prócz tego wielu innych rodaków w Wiedniu, i z tych i z owych prowincyi, i należących do organizacyi. Każdy z nich mógł o tem wszystkiem, co mnie obchodziło, wiedzieć daleko więcej odemnie. Jakoż istotnie znalazłem się, że tak powiem, we wszystkich ustach; ale zastałem wszędzie tylko głuche wieści a między niemi niestworzone legendy. Jedni słyszeli coś o jakichś memoryałach, jakoby przezemnie podanych do rządu, lecz nie umieli nic powiedzieć o ich celu i treści; drudzy opowiadali jakoby o jakiejś niesłychanej zdradzie popełnionej przezemnie, lecz nie umieli określić jej natury i skutków; trzeci nareszcie powtarzali najosobliwsze utwory fantazyi. Tak samo rozmaite znalazłem zapatrywania się na to, jak mnie postąpić należy. Ci byli zdania, że powinienem się podnieść nad tę historyę i wyjechać gdziekolwiekbądź na pare miesięcy, póki się rzecz nie wyjaśni; inni odradzali stanowczo jechać na sąd, zapewniając z góry, że będę się chyba „z pistoletem w ręku“ dopominał sądu a i wtedy jeszcze napróżno; trzeci nareszcie radzili zrobić z sobą cokolwiekbądź, byle ani zostawać w Wiedniu, ani do kraju nie jechać, bo i tu i tam czeka mnie śmierć nieochybna bez sądu. Zdania tych ludzi mogły być mylne albo prawdziwe, lecz były szczere; wszelako do wieczora przekonałem się, że byli inni ludzie, którzy w obec tych wieści rozum stracili a którym się zdawało, że w czasach rewolucyjnych samo podejrzenie na kogoś rzucone jest dostatecznem, ażeby go kazać zgładzić bez sądu W tym duchu odbywały się już nad tem narady....

Powróciwszy do domu, byłem gotów z mojem postanowieniem.

Jakoż tego wieczora jeszcze, napisałem na ręce L. W. do naczelnego komisarza rezydującego w Krakowie list, mniej więcej następującej treści:

— „Jestem gotów stanąć każdej chwili przed sąd; ale nie pojadę do Galicyi bez zapewnienia, że nie zostanę gdziekolwiek w drodze zamordowanym bez sądu. Nie żądam żelaznego listu. Ale niech którykolwiek uczciwy człowiek, mnie znany, napisze do mnie albo zatelegrafuje tylko te słowa: przyjedź tego a tego dnia w to a to miejsce — a natychmiast przyjadę. Ażeby nie narażać na zbrodnicze pokusy szaleńców, którzy dla swego zwichniętego patriotyzmu szukają żeru pomiędzy rodzoną bracią, wyjeżdżam dziś z Wiednia; ale przed upływem dni ośmiu powrócę i spodziewam się zastać odpowiedź. Jeżeli do dni ośmiu odpowiedzi nie otrzymam, pojadę bez zapewnienia i na jego odpowiedzialność do Lwowa.“ —

Zaledwie tu potrzebuję zwracać uwagę na to, że jeżeli napisałem ten list, to bez wątpienia nie dlatego, ażeby mi o mnie chodziło. Eh! jakkolwiek nie milo jest w taki sposób życie położyć, jeszcze w żadnej ważnej sprawie nigdy o mnie mi nie chodziło. Przyznam się zresztą, że myśl ta, ażeby ktoś śmiał się targnąć na moje życie, ani na jedną chwilę nie miała do mnie przystępu. Jeżeli tedy napisałem ten list, to tylko dlatego, iż oczywiście widziałem, że, aby się grzecznie wyrazić, z lekkomyślnymi ludźmi mam do czynienia, po za którymi mimo ich woli i wiedzy działają jeszcze lekkomyślniejsi: chicałem więc, aby się zastanowili nad tem, co robią, i aby cokolwiekbądź przedsięwezmą, dokonali z zupełną przytomnością umysłu.

Oddawszy ten list na pocztę, nazajutrz rano wyjechałem na kilka dni z Wiednia.

XX.

Zniecierpliwiony czekaniem, wróciłem już dnia dziewiętnastego Grudnia do Wiednia i nie zastałem jeszcze odpowiedzi od komisarza, ale natomiast list od jednego z moich przyjacioł ze Lwowa, list rzeczywiście przerażający.

We Lwowie już dnia piętnastego Grudnia rospuszczono wieść głośną, jakobym jakąś niesłychaną zdradę popełnił. Zarazem rozniesiono agitacyę przeciw mnie pomiędzy wszystkie warstwy ludności, która się jak zaraza przyjęła. Po domach prywatnych, po kawiarniach, po miejscach publicznych, po rogach ulic i rynków, gromadzili się ludzie grupami, udzielając sobie z przerażeniem tej strasznej wieści. Co zdradził? kogo zdradził? jakie są skutki tej zdrady? nikt odpowiedzieć nie umiał. Wszelako wszyscy wykrzykiwali z oburzeniem i trwogą: Okropna rzecz! cała sprawa przepadła! — Na zakończenie jeszcze tej efektowej tragedyi rozniesiono ten piękny epilog, jakobym się w Wiedniu zastrzelił, czy-to z obawy przed sądem, czy ze zgryzoty sumienia.

Trzy dni trzymano ludność całego miasta pod wrażeniem tego *coup de théâtre*, odegranego z nadzwyczajną zręcznością przez Narodową policyę — a ktokolwiek wie o tem, jakie skutki pozostawia po sobie tak gwałtownie sprawione wrażenie, ten zapewne nie zechce zaprzeczyć, że była to nie połowa, lecz cały wyrok wykonany na mnie bez sądu.

To też mój przyjaciel zakończył swój list tą uwagą, że kiedy Naczelnik Lwowskiego okręgu tej agitacyi powstrzymać nie mógł lub nie chciał, to mogą mnie w razie mego przyjazdu, tak samo pomimo jego wiedzy lub woli, spotkać napaści lub jeszcze większe niebespieczeństwa:

powinienem zatem na każdy wypadek podróż moją powstrzymać aż do dalszych relacyi.

Termin ośmiodniowy jeszcze nie był upłynął, a przeto i bez tego ostrzeżenia należało mi czekać.

Czekając, starałem się widzieć ze znajomymi mi rodakami. Mało już wówczas było ich w Wiedniu; kto tylko mógł, wyjechał na Święta. Tych zaś, których jeszcze zastałem, znalazłem w dziwnie zamglonem usposobieniu umysłów. Pod wrażeniem ciągle zalatujących najpotworniejszych plotek, zdrowy rozsądek całkiem się zaćmił a jego miejsce zajęły najdziwaczniejsze fantasmagorye, które jedna za drugą na mnie wieszano. I tak: Któremuś z rodaków odmówiono audiencyi u Cesarza, to ja to zrobiłem. Jedna władza zatelegrafowała do drugiej, że ktoś wyjechał do Włoch: to o mnie był ten telegram. Inna władza telegrafuje do Wiednia, ażeby kogoś pilnować: to mnie każą pilnować. Hr. Mensdorff otrzymuje list z Wiednia: to list odemnie. Gdyby przypadek był zdarzył, żeby któryś z rodaków został był wtedy uwięziony w Krakowie lub w Wiedniu: nie wiem, zaprawdę, coby już było ze mną zrobiono. Było to oczywiste zaćmienie rozsądku, i gorzej, bo była to czysta maligna, jak w nerwowej gorączce. Nareszcie dnia dwudziestego piątego Grudnia otrzymałem od jednego z moich przyjaciół telegram ze Lwowa, ażebym wieczornym pociągiem dnia następnego, nie wcześniej i nie później, wyjechał z Wiednia i stanął dnia dwudziestego siódmego wieczór we Lwowie. Dnia dwudziestego szóstego zatem wyjechałem z Wiednia a nazajutrz wieczór stanąłem we Lwowie.

XXI.

Mając jakiekolwiek wyobrażenie o tem, jak się powinny załatwiać sprawy rewolucyjne a jeszcze do tego tajne, gdzie cała ich skuteczność od szybkiego załatwienia zależy, byłem przekonany, że w Lwowskim dworcu kolei zastanę już czekającego na mnie urzędnika narodowej organizacyi, który mnie prosto zawiezie przed sąd już siedzący za stołem; sąd za dwie lub trzy godzin sprawę rozstrzygnie i według litery wyroku, albo mnie z czcią wypuści na wolność, lub odda w ręce żandarmom. Tak, aż po te czasy, wszystkie trybunały rewolucyjne odprawiały swe sądy, i tak je będą odprawiać po wszystkie wieki. Obwinić kogoś, sprowadzić o sto mil na sąd, nie spytać się czy się stawił, puścić go wolno i dać mu czekać na ponowne wezwanie, to może zrobić tylko, albo rewolucyjny idiotyzm, albo żakowska zabawa w rewolucyjne władze i sądy, która z piekielną wojuje energiją wszędzie, gdzie może kogoś ukrzywdzić, lecz nigdy nie dopełni swych obowiązków tam, gdzie jej

zagraża jakiekolwiek, choćby tylko w rewolucyjnym strachu wymarzone niebespieczeństwo.

Cóżkolwiekbądź, nie zastałem żadnego urzędnika organizacyi w dworcu kolei.

Zastałem tylko jednego z moich przyjaciół, który szlachetną troskliwośćią o mnie wiedziony, przyjechał po mnie na dworzec. Za ten dowód przyjaźni zapłaciła mu w kilka tygodni potem Narodowa policya rozbójniczym napadem, od którego bolesnych skutków ocaliły go tylko jego przytomność umysłu i tchórzowstwo tych policyjnych rycerzy.

Nazajutrz po moim przyjezdzie, o godzinie, dziewiątej rano, posłałem służącego z listem do P. G., w którym go zawiadamiam, żem przyjechał, i proszę, ażeby mnie jaknajprędzej postawił przed sąd. P. G. odpowiedzi pisemnej nie dał, lecz za godzinę sam przyszedł do mnie.

Rozmowa nasza była osobliwszego rodzaju. Członek Wydziału, który przecież sam za tem głosował na posiedzeniu w Krakowie, ażeby sąd złożyć i mnie przedeń zawezwać, okazał mi się moim przyjazdem prawie zdziwiony a nawet jakoby zakłopotany. A kiedym go przyparł, że teraz już niemasz czasu ani się dziwić, ani kłopotać, tylko należy działać i to bez zwłoki, odpowiedział mi na to, ramionami wzruszając: że tu niemasz mowy o żadnym sądzie; że nikt sobie do sądu nie rości prawa; że się tylko złoży jakaś komissya, która tę sprawę rostrząśnie i potem zdanie swoje ogłosi, ażeby plotkom zapobiedz.

Przedstawilem mu zatem, że mi to zupełnie jest obojętnem, jak ta magistratura zostanie nazwaną, czy komissyą, czy sądem, czy trybunałem; mnie tylko idzie o to, ażeby ten sąd był złożony z ludzi rozumnych, uczciwych i niezawisłych, którzy potrafią jasno przejrzeć wszystkie potwarze i kłamstwa i których zdanie będzie miało poszanowanie. A ażeby to zdanie mogło być jeszcze uszanowanem, potrzeba koniecznie, ażeby sąd został zwołanym natychmiast i aby wyrok był do wiadomości publicznej podany tak głośno, jak głośno zostały roskrzyczane te plotki.

Na te uwagi P. G. uspokoił mnie, mówiąc: że dwóch z tych, którzy zostali wyznaczeni do sądu, niemasz w tej chwili w Lwowie; ale zostaną powołani natychmiast i za dni kilka przybędą. Prosił mnie zatem o cierpliwość, zapewniając, że najdalej do ośmiu dni zawiadomi mnie sam, że sąd już jest obecny, poczem sprawa ta zaraz się załatwi. Ośm dni! — to cały wiek.

Ale nie było na to ratunku; trzeba było mieć cierpliwość i czekać.

W cierpliwość, wytrwałość, energiję, odwagę i determinacyę, już naprzód się uzbroiłem, i byłem pewnym, że żadna z nich mnie nie zawiedzie. Ale tu jeszcze o coś więcej chodziło. Tu trzeba się było przygotować na najrozmaitsze zawody, a nawet na więcej, bo trzeba się było obawiać ze strony tych, którzy najwyższą władzę dzierzyli w kraju, jeżeli nie złej woli, to braku energii i odwagi cywilnej, który częstokroć

w położeniach podobnych, jak nas naucza historya, tak samo wydaje na śmierć najniewinniejszych, jak winnych.

Ażeby dobrze zrozumieć, dlaczego i jakim sposobem te moje obawy się później ziściły, trzeba się zbliska przypatrzyć, jak wówczas były podzielone władze rewolucyjne i jakie były ich stanowiska i wpływy.

XXII.

Po długich sporach i targach o zakres władzy pomiędzy Rządem Narodowym a galicyjskiemi Władzami, przyszło nareszcie w miesiącu Listopadzie do jakiegokolwiek porozumienia. Władze galicyjskie uzyskały dla siebie pewien rodzaj autonomii co do spraw czysto prowincyonalnych i tylko ekonomiczno-administracyjnych, lecz za to co do spraw wojskowych i politycznych wyższego rzędu poddały się kierunkowi Rządu Narodowego, a oprócz tego musiały się jeszcze i co do formy zreorganizować. Pod tym ostatnim względem przed wszystkiem innem komitet Krakowski zlał się z komitetem Lwowskim a z tego zlewku został stworzonym Wydział galicyjski, w którym zasiedli: Naczelny komisarz Rządu Narodowego na całą Galicyę, rezydujący w Krakowie; Naczelnik sił zbrojnych przejeżdżający się ciągle pomiędzy Krakowem i Lwowem; dwóch członków Wydziału Krakowskich; dwóch Lwowskich, i sekretarz rezydujący w Krakowie. Nadto Galicya została podzieloną na cztery Okręgi: Krakowski, Rzeszowski, Lwowski i Tarnopolski, a w każdym z nich został osadzony Naczelnik, mający pod swoją władzą całą organizacyę prowincyonalną swego Okręgu.

Ale cała ta nowa organizacya władz wyższych była już wówczas prawie tylko zabawką w dygnitarzy rewolucyjnych, którzy wprawdzie jeszcze ściągali podatki, jeżeli kto je chciał płacić, ubierali niechcących już wcale powstawać powstańców w burki i buty, a nawet jeszcze zakupywali karabiny i amunicyę: ale tej władzy moralnej nad krajem, jaką mieć byli powinni, bynajmniej nie mieli. Pod niemi bowiem a raczej obok nich, już się była rospostarła organizacya miejska — mówię tu głównie o Lwowie; w Krakowie już wówczas wszyscy omdleli — organizacya ślepa, ale energiczna, zapalona, zapamiętała, która całą siłę moralną prowincyi tak w swoich ręku ścisnęła, że trzęsła całą opiniją publiczną.

Kierownicy organizacyi białej nie byli już w stanie panować istotnie nad krajem: bo jakkolwiek mieli wolę po temu, jednak już siły nie mieli, — a to dlatego, bo ich dążnościom i sprawom nie przewodniczyła w obrębie ich politycznego działania jasno określona polityczna idea. Kiedy stronnictwo czerwone, dzierzące całą organizacyę miejską w swych ręku, dążyło świadomie do rewolucyi a przeto miało przed

sobą cel, lubo bez wątpienia niedorzeczny praktycznie, ale w uczuciu i w myśli jasny, stanowczy i pewny: oni, patrząc na rzeczy politycznie-rozsądniej a patriotyczenie-uczciwiej — ale położeniem sprawy publicznej zmuszeni, zarazem i do utrzymywania rewolucyjnej organizacyi, ażeby za jej pomacą mogli pomagać powstaniu w Królestwie, i do powstrzymywania rozszerzającego się ruchu rewolucyjnego w Galicyi, ażeby się ziemia nie zapaliła pod nimi — popadli w osobliwszą a niebywałą jeszcze dotychczas rolę jakichś niby-konserwatorów rewolucyjnych, rolę tak samo niemożliwą w teoryi, jak niewykonalną w praktyce. W każdej rewolucyi taka rola nie mogłaby trwać ani dni kilku; wśród tego ruchu, który jeszcze nie przeszedł byl w rewolucyę, mogła się przewlec czas dłuższy, ale rzecz oczywista, iż nie mogła tych, którzy ją wzięli na siebię, usposobić w dostateczną potęgę do opanowania wszystkich sił kraju a władzę ich musiała uczynić do pewnego stopnia konwencyonalną, bo zawisłą od dobrej woli tego stronnictwa, które mając myśl jasną i dążność stanowczą przed sobą, mogło każdego momentu samem wywieszeniem swojego sztandaru wszystkie władze obalić, jakie gdziekolwiek po za niem istniały. Słabość wewnętrzna a raczej niedojrzałość przygotowawczych czynności tegoż stronnictwa sprawiała to, że organizacya biała jeszcze mogła odbywać swe funkcye; organizacya zaś biała znajdowała w swojem rozgałęzieniu możność jakiegokolwiek funkcyonowania a w swych upoważnienach od Rządu Narodowego nawet możność borykania się z temże stronnictwem: ale jak z jednej strony funkcyonowanie jej z powodu ubywających ciągle środkow materialnych musiało stawać się coraz słabszem, tak znowu z drugiej i jej opór przeciwko temu ciągle wzraslającemu stronnictwu musiał ciągle omdlewać i gubić się zwolna w coraz znaczniejszych ustępstwach.

To też stronnictwo to rozwielmożyło się wówczas do nadzwyczajnego stopnia. Organizacya miejska wciągnęła była w swoją gęstą tkaninę wszystkich mieszkańców miasta. Nawet Niemcy i Żydzi poddali się do pewnego stopnia jej wpływom i wykonywali otrzymywane od niej roskazy. Cała takzwana wojskowść, stojąca kwaterą we Lwowie — a było tam wówczas przynajmniej dwa tysiące powstańców — pozostawała pod wpływem organizacyi miejskiej a jej starszyzna stała po największej cześci w jawnej opozycyi przeciwko organizacyi białej. Komendant placu z całym swym sztabem stanowił tylko osobny Wydział Narodowej policyi. Mawet komendanci oddziałów, stojących po wsiach, z wyjątkiem jednego Gołuchowskiego, znosili się z organizacyą białą tylko w sprawie kwater, kożuchów i butów, a zresztą sympatyzowali jaknajserdeczniej ze stronnictwem czerwonem. A przeto sieć ta rosciągała się w niektórych kierunkach bardzo daleko po za rogatki miasta i wszędzie gęste ponawięzywała węzełki. Głównym zaś węzłem

i całą duszą tej sieci była Narodowa policya, która oprócz swej własnej organizacyi miała we wszystkich innych organizacyach swoich stronników, i tym sposobem na tę całą tkaninę, krom wpływów jawnych, wywierała jeszcze wpływ tajny, wpływ otoczony urokiem tajemniczości a opierający się na terroryzmie — a przeto absolutny, jedynowładny, niezaprzeczony.

Toż nie trudno sobie wyobrazić, jakiem się stało położenie moje w tym stanie rzeczy, gdzie całą opiniją publiczną trząsł tylko głos jeden — a głos ten prowadziła ta sama Narodowa policya, która wytoczyła przeciw mnie oskarzenia i w celu ich utrzymania podniosła taką zapobiegliwą przeciw mnie agitacyę.

XXIII.

Wszelako i w tem położeniu nie brało mi jeszcze przyjaciół. Nie brakło ludzi, którym jasny i zdrowy rozsądek połączony z obywatelską zacnością, kazał choćby z narażeniem się na wszelkie możliwe przykrości stanąć jawnie po stronie sprawiedliwości i prawdy. W ludziach tych obudziły tę znamienitą odwagę cywilną dwie rozmaite pobudki: jedni z nich, znając mnie od lat młodych, znając dokładnie całą mą przeszłość, mieli tą niewzruszoną wiarę, mieli to przekonanie, że nigdy i wżadnych okolicznościach nie mogłem podjąć żadnego czynu szkodliwego dla kraju, że nawet myśl taka nie mogła mieć do mnie przystępu; drudzy zaś poszli drogą krytycznego rozumu, obznajomili się jaknajdokładniej z podniesionemi przeciw mnie zarzutami, starali się dojść prawdy wszelkiemi możliwemi środkami, a przekonawszy się, że oskarzenia są niesprawiedliwe, stanęli jawnie po mojej stronie. I ci i owi przyszli sami do mojego mieszkania w mieście, otoczonego wówczas stróżami Narodowej policyi, wyjawili mi swe przekonania, pomoc swoją przyrzekli i potem odwiedzali mnie prawie codziennie. Nie wymienię tutaj ich nazwisk, bo wiem, że za dopełnienie szlachetnie pojętych obowiąsków obywatelskich żadnej nie wymagają nagrody: ale mam sobie za najświętszą powinność, wyrazić tutaj, że cenniejszej przysługi nie doświadczyłem od nikogo w mem życiu.

Z upływem czasu przyszło mi się doczekać więcej tego rodzaju objawów ufności, współczucia i dobrej wiary. Nie będę ich tutaj szczegółowo wyliczał. Lecz w ogólności muszę nadmienić, że były pomiędzy niemi i takie, które, już-to okazując się niespodziewanie, już głębsze lub rozleglejsze mając znaczenie, dziwnie mnie chwyciły za serce i wyryły się na zawsze w mojej pamięci.

Wówczas-to nadesłano mi zapytanie z mojej rodzinnej ziemi Sanockiej, proszące z staropolską otwartością o wyjaśnienie tych głuchych

wieści, które tylko jak odgłos dalekiej burzy się tamże odbiły; wówczas redaktorowie jednego z pism politycznych ofiarowali mi czynną pomoc w kolumnach swego dziennika — a wreszcie także i kilku mieszczan, z którymi swojego czasu w bliższych byłem stycznościach, pospieszyło wyrazić mi uczucia swej niezachwianej ufności.

Takie objawy milsze mi były, niż wszystkie złorzeczenia i klątwy, jakiemi naówczas z tego powodu po niektórych zebraniach obrzucano rewolucyjną policyę wraz z rewolucyą.

Jakoż istotnie, bespośrednio po moim przyjeździe do Lwowa, opinija publiczna zaczęła się widocznie przechylać na moją stronę. I ci i owi usiłowali rozmaitemi sposoby dać mi do poznania swoje współczucie, znaczna większość przejrzała niedorzeczność zarzutów a najzawziętsi nawet umilkli, mówiąc, że będzie sąd, który te wątpliwości rozstrzygnie. Przez całe zaś miasto na wzdłuż i na poprzek przeszedł głos jednozgodny: „Kiedy przyjechał, to oczywiście niema sobie nic do zarzucenia.“

XXIV.

W obec tak usposabiającej się opinii publicznej rewolucyjna Policya znalazła się oczywiście w położeniu niemiłem. Wezwany urzędownie przed sąd, muszę przedeń być postawionym — a w obec danego przezemnie wyjaśnienia wszystkich moich stosunków i powodów podróży nie będzie można udowodnić podniesionych przeciw mnie zarzutów. O tem Policya aż nadto dobrze wiedziała. Nie mogąc zaś mieć podówczas nadziei zwichnięcia jawnego sądu za pomocą kabał i agitacyi, bo przecież jeszcze nie dopuszczała, aby członkowie Wydziału wraz z Naczelnikiem Okręgu byli tak słabi, jakimi poźniej się okazali, postanowiła innego chwycić się środka i po prostu mnie wystraszyć ze Lwowa. W tym celu już we trzy dni po moim przyjeździe przysłała mi dekret, w którym mnie zawiadamia, iż od dnia tego „przestaje ręczyć za bespieczeństwo mojej osoby.“

Dekret ten, za liczbą 414/15, datowany dnia 30. Grudnia 1863, z drukowanym nadpisem: „Dyrektor Policyi Narodowej w mieście Lwowie“, a utwierdzony pieczęcią z napisem okólnym: „Agencya Policyi Narodowej. M. Lwów.“, jest bez wątpienia najwybitniejszym pomnikiem tego żakowskiego zuchwalstwa, do jakiego się posuwały ówczesne pokątne władze, samorodnie na bruku wyrosłe a z lekkomyślnych półgłówków złożone. Dekret ten bowiem wydaje człowieka, powołanego przed sąd, na śmierć bez sądu — a za całą przyczynę tego wyroku podaje tę okoliczność, że ten człowiek przejeżdża otwartym powozem przez miasto i przez to obraża opiniję uliczną!

Okoliczność ta nie wymaga nawet bliższych wyjasnień: bo każdemu było wiadomo, że jak długo mieszkałem we Lwowie, zawsze codziennie o godzinie drugiej z południa jeździłem z mego mieszkania w mieście do mego ojca mieszkającego na przedmieściu na obiad, i zawsze w dnie słotne przysyłano po mnie powóz zakryty a w dnie pogodne otwarty. W podniesionych przeciw mnie przez Narodową Policyę oskarzeniach nie było przecież jeszcze powodu do zmiany sposobu życia.

Lecz dekret ten miał jeszcze inną i daleko smutniejszą stronę, albowiem jest w nim powiedziano, iż to „cofnięnie bespieczeństwa osoby“ zarządzonem zostało „z polecenia władzy wyższej.“ To mówił Dyrektor Policyi, nad którym wyższemi władzami był tylko Naczelnik Okręgu i Wydział. Jeżeli przeto ten dekret był wydanym istotnie z polecenia władz wyższych, to bardzo bliskim był wniosek, że też same władze, które mają obowiązek sąd złożyć, chcą mnie milczkiem wystraszyć ze Lwowa, ażeby nie musiały tego obowiąsku dopełnić.

Ze względu na to wypadało mi dekret ten jako ważny dokument przeciwko moim oskarzycielom zachować — a tymczasem wszystkie usiłowania ku temu wytężyć, ażeby sąd został jaknajprędzej zwołanym.

Zadanie to było dla mnie, jak każdy łatwo wnieść może z owoczesnego stanu miasta, wcale nie łatwem. Albowiem sam za tem chodzić nie mógłem, nie dla niebespieczeństwa, które już wówczas było kwestyą podrzędną, ale dlatego, iż oczywiście sam byłbym nigdzie żadnego narodowego urzędnika nie znalazł. Musiałem się przeto w tej najważniejszej sprawie wyręczać pośrednictwem.

Na szczęście miałem dosyć przyjaciół, którzy z położenia swego wszędzie mieli przystęp tak pewny a przytem tak chętnie mi pomagali we wszystkiem, iż i sam nie potrafiłbym był działać skuteczniej. Ale i dla nich działanie było nie łatwem.

P. G. już się na żadne wezwanie później u mnie nie zjawił. Udano się do niego i do Z. R. jako do drugiego członka Wydziału, lecz obadwa odpowiedzieli: że zwołanie sądu do nich nie należy, tylko do Naczelnika Okręgu.

Udano się zatem do Naczelnika Okręgu.

XXV.

Naczelnikiem Lwowskiego Okręgu był wówczas człowiek, którego wprawdzie nigdy nie widziałem naocznie i zapewne nigdy już nie obaczę, ale którego znam z imienia i nazwiska, z mieszkania i

zatrudnienia. Wyrządziwszy mi krzywdę piekielną, bo na plugawą kabałę pieczęć Władz narodowych przyłożył, przez co ją podniósł do znaczenia wypowiedzianego wyrazu, wypełniwszy tym jednym aktem całe swoje urzędowanie i nie doświadczywszy za to żadnego odwetu, w kilka miesięcy potem wrócił szczęśliwie do domu i cieszy się dotąd niezakłóconą swobodą. Bardzo też trafnie nazywał się Szczęsnym.

Owo więc Szczęsny, kiedy go przyparto z mej strony: dlaczego nie kończy tej sprawy? nie wiedział sam, coby miał odpowiadać. Objęcie tępe, nieznajomość krajowych stosunków zupełna a stąd nieświadomość ani swej roli, ani swych obowiąsków, ani nawet doniosłości tego procesu, który mu do przeprowadzenia oddano, kładły mu w usta niestworzone niedorzeczności. Mówił więc raz: że zapewne, że cośby trzeba zrobić z tą sprawą. Innym razem usprawiedliwiał się: że przejrzał wszystkie oskarzenia i widzi sam, że niema dowodów; ale opinija jest tak bardzo wzburzona — trzebaby więc coś zrobić dla tej opinii. Kiedyindziej znów mówił: że sąd złożyć potrzeba, o tem niema wątpienia; ale czy zechce kto zasiąść do jawnego sądu? czy się nie będzie obawiać?

Tak mówił Naczelnik rewolucyjny, któremu dano zdradę osądzić — a której-to zdrady mniemany sprawca, znający całą sieć konspiracyi jak własną kieszeń, zawezwany przed sąd i rozdrażniony do najwyższego stopnia, znajdował się w miejscu.

Całe położenie rzeczy leży tu jak na dłoni.

Nie chodziło tu wcale o sąd. Wszyscy naczelnicy rewolucyjni wiedzieli aż nadto dobrze, że tu nie było co sądzić. Nie było także żadnej obawy o zdradę. Wszyscy wiedzieli o tem z pewnością godną podziwu. Postępując przeciw mnie w sposób tak barbarzyńsko-obrażający a zostawiając mi zupełną swobodę działania, dali mi takie *votum* ufności, jakiego, śmiało to mogę powiedzieć, jeszcze nigdy nikomu nie dano.

Tu tylko chodziło o jakieś gładkie wykręcenie się z tej sprawy. Chodziło tylko o takie poświęcenie człowieka, ażeby nie poniósł śmierci niewinnej, na którą przecież nie pozwalało sumienie, a ażeby mimo to jakoś zadość uczynić żądającej takiej ofiary rewolucyjnej Policyi.

Takie było położenie rzeczy. O sądzie od owej chwili, jak ja przyjechałem do Lwowa, nikt już nie myślał. Sąd zresztą taki, na jaki stać było władze ówczesne, był już dawno zwołany — i sprawa była już osądzoną zaocznie.

XXVI.

Tak jest: sąd był zwołany jeszcze przed moim przyjazdem. Dlaczego i jakiem prawem sąd zwołano już wówczas, kiedy mnie dopiero przed sąd zawezwano i kiedy nie można było przypuszczać, że nie przyjadę? czy była to tylko zwykła mieudolność urzędowania? czy jakaś uboczna kabała? czy ktoś z moich dwuznacznych, przyjacioł wpoił w Władzę Lwowską to przekonanie, że ja z pewnością przed sądem nie stanę? — czy był to wreszcie sąd sądzić mający? czy tylko instrukcyjny i informujący? — to wszystko wieczną już pozostanie zagadką.

Pewną jest tylko to: że sądem stanowczo wyrokującym żadną miarą być nie mógł, bo ja jeszcze dnia 13. Grudnia odpowiedziałem Krakowskiemu komisarzowi, że „na każdy wypadek“ na sąd do Lwowa przyjadę. Sądzić mnie zatem, bezemnie i bez upewnienia, że nie przyjadę, nikt nie miał prawa i nie było żadnego powodu.

Cóżkolwiekbądź, ten jakiś sąd odprawił się jeszcze w drugiej połowie Grudnia i właśnie w tę samą porę, kiedy mnie telegrafem zawezwano do przyjazdu do Lwowa.

Obaczmyż, jaki to był sąd i jakie jego wyroki.

Kto sędziów mianował: czy Naczelnik Okręgu, który kraju zupełnie nie znał? czy członkowie Wydziału, którzy się do tego obowiąsku nie przyznawali? czy rewolucyjna policya, która mnie oskarzała? czy ktokolwiekbądź, komu się w trybunały podobało zabawić? — to mi niewiadomo dokładnie.

Wiem tylko tyle, co wiedzą wszyscy, że do tego sądu zostali powołani czterej sędziowie. Oddając dzisiaj tę sprawę pod sąd opinii powszechnej, powienienbym tutaj koniecznie wymienić tych sędziów nazwiska: bo jeśli jest jeszcze dzisiaj ktoś w kraju, któryby powinien dokładnie pamiętać wszystkie podstawy tego procesu, to są nim przed wszystkiem sędziowie — a jeśli ktoś jeszcze zechce dochodzić dowodnie tej sprawy, to do nich się musi udać po informacyę. Wiedząc jednak aż nadto dobrze, że dziś żadnemu z tych sędziów przejście do potomności razem z tą sprawą nie mogłoby być przyjemnem; wiedząc nadto, że jakkolwiek za wszystkie owoczesne czynności jest zapewnioną zupełna beskarność, przecież jeszcze z tego powodu mógłbym być podejrzywanym, jakobym się dopuścił nieszlachetnego odwetu: uniosę się wyższemi względami nad wszelkie obowiąski sumienia i interesu i nazwisk ich nawet inicyałami ich nie oznaczę. Spodziewam się przecież, że kto zechce u sędziów dokładniejszych zasięgnąć objaśnień, ten ich potrafi znaleźć z łatwością.

Jednak natomiast w ogólności muszę powiedzieć, że ten sąd, jak był w niewłaściwym czasie zwołanym a stąd niewłaściwą funkcyą opatrzonym, tak także był niewłaściwie złożonym. Albowiem jak niewątpliwie trafnym był wybór dwóch z tychże sędziów, ludzi poważnych, spokojnych i zdolnych; tak również niewątpliwie nietrafnym był wybór takiego żołnierza, który przy całej prawości charakteru w całej Polsce jest znanym z niepowściągliwej popędliwości temperamentu — a jeszcze mniej trafnym mógł być nazwanym wybór takiego poety, który niedawno-co przedtem bledniejący blask swego imienia odświeżył publicznie rzuconem na jednego z najzasłużeńszych rodaków oszczerstwem. Gdyby mi obyczajem, w sądownictwie całego świata przyjętym, udzielone zostały nazwiska sędziów przed sądem, to rzecz oczywista, że tak złożonego sądu byłbym nie przyjął.

Jak sąd był złożony, tak też i *vota* zapadły.

Pierwsi dwaj sędziowie powiedzieli: „niewinien“; dwaj drudzy: „że winien“.

Temu sądowi przewodniczył sam Naczelnik Okręgu, czem już dopełnił miary wszelkich niewłaściwości i niesłuszności, bo nigdy i nigdzie urzędnik administracyjny, który w sprawach politycznych z obowiąsku swego jest do pewnego stopnia stroną oskarzającą, nie przewodniczy magistraturom. Jednakże wówczas nie dał on żadnego *votum* od siebie.

Sprawa ta zatem w tym sądzie zaocznym wcale rozstrzygniętą nie została, bo w tym sądzie zapadła równość głosów.

W tym stanie nierozstrzygniętym pozostawił ja Szczęsny naówczas do dalszej decyzyi.

XXVII.

Rospatrzmyż się teraz w punktach oskarzenia, które temu sądowi przedłożono do rozsądzenia.

Plotki, domysły i kombinacye, tu nie należą do rzeczy; sprawa bowiem taka, jak proces tego rodzaju, może i powinna opierać się tylko na faktach.

Faktów takich, które rewolucyjna policya przedłożyła Naczelnikowi Okręgu i na których swe oskarzenia oparła, było dwa tylko.

Faktami temi były jakoby przejęte i skopiowane urzędowe depesze, stylizowane przez hr. Mensdorffa, naówczas Namiestnika we Lwowie, do Ministra policyi w Wiedniu.

Jedna z tych depecz miała być przejętą na poczcie a druga na telegrafie.

Pierwsza depesza była pisaną pismem zwyczajnem w języku niemieckim a treść jej była taka: „że hr. Mensdorff rekomenduje Ministrowi jakiegoś człowieka, który już znamienite zasługi oddał rządowi a który obecnie jedzie do Wiednia; nazwisko zaś jego, napisane szyframi, dołącza do tego listu na osobnej karteczce.“ Policya, skopiowawszy tę depeszę na poczcie, skopiowała także dołączoną karteczkę, na której było wypisanych w jednym szeregu dziesięć liczbowych szyfer.

Druga depesza była telegraficzna i pisana szyframi a treść jej taka: „że hr. Mensdorff prosi Ministra policyi, ażeby temu człowiekowi, który rządowi znanego memoryału dostarczył, wypłacił jako drugą ratę 2000, albo 2100 Złr.” O nazwisku tego człowieka, jak niemniej o tem, czyli to jest ten sam człowiek, o którym była mowa w poprzedzającej depeszy, czy inny, nie było w tym telegramie żadnego wspomnienia.

Na tych dwóch faktach oparła Policya swe oskarzenie.

Przedłożywszy zaś kopie tych obudwóch depesz i przyjąwszy z góry, lubo bez żadnego dowodu, że obydwie odnoszą się do jednego i tego samego człowieka, oskarzenie swe poparła następującem rozumowaniem:

że ponieważ najpierw, ja właśnie mało-co przedtem pojechałem był do Wiednia; ponieważ powtóre, szyfrowane na osobnej karteczce nazwisko składa się z dziesięciu szyfer a przeto, wedle jej zdania, z dziesięciu liter — a moje nazwisko składa się także z dziesięciu liter:

więc tym jednym i tym samym człowiekiem, który pojechał do Wiednia do Ministra Policyi, i który za 2- czy za 4000 Złr. rządowi jakiegoś memoryału dostarczył, ja jestem.

Oto cała treść oskarzenia.

Być może, nie przeczę, że tak gołosłownie zestawione to oskarzenie ma jakieś prawdopodobieństwo za sobą i łatwowiernych może uprzedzić: ale od tego sąd, ażeby wszedł w sprawę gruntownie i nie poprzestał na prawdopodobieństwie, tylko odsłonił prawdę.

Niewiem, jak tam ów sąd przeprowadził to śledztwo; ale ja tutaj dotrę tym faktom do dna i do gruntu, i nie ominę żadnego szczegółu, któryby się mógł w jakibądź sposób do wyjaśnienia prawdy przyczynić.

XXVIII.

Owo więc przedewszystkiem, dla mnie, wszelkie przejmowanie depesz rządowych w Austryi — w Państwie takiem, którego rząd zdawna jest sławnym z swojej policyjności — jest nadzwyczajnie wątpliwem. Albowiem rządy, pracujące od wieków tajnemi drogami i ustawicznie się własnem doświadczeniem uczące, doprowadziły bespieczeństwo swoich komunikacyi do tego stopnia, że, jak powszechnie wiadomo,

niemasz wypadków, ażeby się ich tajemnice zdradzały — i zdarza się to tylko natenczas, kiedy je dyplomaci umyślnie zdradzają. Gdyby przejmowanie depesz rządowych było tak łatwem, żeby je można za pomocą przekupstwa urządzać, to nie byłoby żadnych tajemnic pomiędzy rządami, bo każdy rząd poświęciłby chętnie miliony na przejmowanie depesz swoich sąsiadów.

Prócz tego dowiedziałem się później, kiedy mnie szczegół ten zaczął obchodzić, jakim porządkiem bywają przesyłane ważne rządowe depesze. Oto posyłają się one w ten sposób: że w chwili oddawania taktowych na pocztę posyłający telegrafuje zawiadomienie, że taka a taka posyłka odeszła — w skutek czego w miejscu przeznaczenia, w chwili nadejścia poczty, czeka już na poczcie umyślnie po ten pakiet przysłany urzędnik, który go też natychmiast odbiera. Jakim sposobem w obec takich ostróżności można na poczcie pakiet odpieczętować, depesze wydobyć, odczytać, skopiować i na powrót zapieczętować — to pozostanie dla mnie zagadką. A przecie to są fakta, które sprawdzić nie trudno.

Nie chcę mimo to wszystko jeszcze utrzymywać, jakoby przejęcie jednej lub drugiej depeszy, takim lub owym wypadkiem, było wprost niepodobnem. Wiem nawet, że policya miała istotnie na poczcie niejakie styczności i że się poźniej tamże jakoweś przeniewierstwa wykryły. Ale przeniewierstwa mogły mieć miejsce — a nie koniecznie w takich rozmiarach. Toż w każdym razie, w obec takich okoliczności, jakie przytoczyłem powyżej, jeżeliby mi ktoś kopie depesz rządowych przedłożył, to musiałby mi namacalnie niezbite dowody okazać, ażebym w ich autentyczność uwierzył. Bez takich dowodów miałbym je za podrobione: tem bardziej jeszcze w takiem położeniu rzeczy, gdzie te depesze, z jednej strony, nie były samoistnym, sporadycznym wypadkiem, ale służyły tylko ku wzmocnieniu już od kilku miesięcy wciąż podnoszonych przeciwko jednej i tej samej osobie podejrzeń — z drugiej zaś strony były wypadkiem całkiem odosobnionym, bo oprócz tych depesz, nigdy, ani przedtem, ani potem, żadnych tego rodzaju depesz nie przejęto. Tu zatem, zapewne każdy bezstronny to przyzna, potrzeba było bardzo ścisłych dowodów, że kopie te były autentyczne.

A czy policya przedłożyła sądowi takie dowody?

Z pewnością nie.

Bo to przecież nie można było przyjąć za dowód, że ten albo ów ajent narodowej policyi, albo nawet jakiś urzędniczek pocztowy, zapłacony albo należący do konspiracyi, zeznał lub przysiągł, na krzyż albo na trupią głowę, że widział i czytał tę depeszę na poczcie. W obec takich okoliczności, w obec koniecznej potrzeby dostarczenia na już podniesione oskarzenia dowodów, przy fanatyzmie politycznym, jaki podówczas panował, przy rosprzężeniu wszelkich względów, krępujących w czasach zwyczajnych sumienie: któryż ajent rewolucyjnej policyi

lub zaprzysiężony podrzędny członek konspiracyi nie przysięgnie na wszystko, na co mu jego mistrzowie przysiądz roskażą i w czem mu jakiś wyższy cel polityczny przedstawią? — Tem przecież stoją i tylko tem tak niezwykłych celów osięgają wszystkie rewolucyjne sprzysiężenia, że każdy członek poświęca całą swoją istotę moralną temu jedynemu celowi, który sobie sprzysiężenie zakłada. Tak było zawsze, tak było i wówczas. O tem powinien był wiedzieć ów sąd — i jeśli chciał tę sprawą sumiennie osądzić, to nie godziło mu się poprzestać na takich dowodach. Gdzież należało szukać lepszych dowodów?

Lepszych dowodów należało szukać takiemi drogami, jakiemi ich w takich wypadkach szuka sądownictwo całego świata. Więc najpierw', należało koniecznie przez jednego z sędziów przekonać się dowodnie, czyli takie przejęcie i skopiowanie depeszy jest rzeczywiście możebnem. O tem można się było przekonać naocznie bez żadnej trudności. Powtóre, należało koniecznie na drodze innej, niezawisłej i nieużywanej przez oskarzającą policyę, sprawdzić jej podanie co do istnienia tej depeszy. Przy dobrej woli i to było nie trudno.

Gdyby sąd był poszukał takich dowodów, to byłby się przekonał niechybnie, że przejęcie rządowej depeszy było wprost niepodobnem: raz dlatego, że na otworzenie pakietu, skopiowanie dokumentu i opieczętowanie go podrobionemi pieczęciami na powrót, nie było czasu; a powtóre dlatego, że urzędnicy pocztowi nie pracują w osobnych pokojach, tylko gromadnie, przez co wzajem się kontrolują — a przecież wszyscy nie byli ani przekupieni, ani też sprzysiężeni.

Autentyczność zatem tej kopii, która miała być zdjętą z depeszy przesłanej pocztą, nie była dowiedzioną i sąd nie powinien był jej przyjmować za wiarogodną.

Inna jest rzecz z drugą depeszą, która miała być przejętą na telegrafie. Otrzymywać wiadomości z urzędów telegraficznych jest wszędzie daleko łatwiej, niżeli przejmować depesze na pocztach. Otrzymywać kopie szyfrowanych depesz rządowych, już jest daleko trudniej, najczęściej wprost niepodobna. Jednak przyjąwszy, że urzędnik w biórze telegraficznem był przekupiony lub sprzysiężony i wydał kopię szyfrowanej depeszy, na co wszakże potrzeba było także takiego samego jak przy pocztowej depeszy dowodu: to gdzież jest dowód, że tę depeszę zdeszyfrowano? i kto ją zdeszyfrował: czy urzędnik sam, niby-to klucz rządowy znający, i uwierzono jemu na słowo? czy narodowa Policya? W jednym i drugim razie potrzeba było autentyczność zdeszyfrowania udowodnić.

Tę kwestyę rozbiorę dokładniej poniżej: tutaj zaś tylko zapowiem, że i tego dowodu nie było.

A przeto autentyczność obudwóch depesz nie była udowodnioną tak, jakiego dowodu potrzeba niezbędnie, ażeby oskarzenie wytoczyć.

XXIX.

Lecz przypuściwszy nawet, że te obydwie depesze były autentyczne, to jeszcze wcale nie widzę, i nikt tego dojrzy, jakim sposobem ich treść mogła być do mnie zastosowaną.

Przystępując do pierwrzej depeszy, uderza najpierw' ta okoliczność niezwykła, iż wedle zeznania policyi depesza ta była zwykłem pismem pisana a nazwisko szyframi na osobnej karteczce. Dlaczego ta dwoistość pisma w jednej i tej samej depeszy, obwiązanej mocnym szpagatem i opieczętowanej pięcią pieczęci? Dlaczego wreszcie szyfrowane nazwisko nie było wpisane w text listu? dlaczego na osobnej karteczce? — Że tak nie było, można z góry zaręczyć: bo żaden rząd regularny, rozumny i doświadczony, nie używa takich foremek, które nie mają żadnego celu, nie odpowiadają żadnemu słusznemu względowi, nie mają żadnej dobrze pojętej ostróżności na oku a mogły były być tylko wymyślone przez żaków, małpujących urzędowanie.

Tę pocztowę depeszę zastosowała policya na następujących podstawach do mnie:

najpierw', że ja w owe czasy pojechałem był do Wiednia;

powtóre, że karteczka obejmowała w sobie dziesięć szyfer a moje nazwisko składa się z dziesięciu liter.

Owóż co do pierwszego, postawiono tu dowód wcale odwrotnie, zdrowemu rozumowi na przekór. Albowiem ja wprawdzie pojechałem był wówczas do Wiednia, ale jak pojechałem? Wyjeżdżając ze Lwowa wybrałem się był tylko do Krakowa i sam nie wiedziałem, czy z Krakowa powrócę do Lwowa, czy pojadę dalej i dokąd. Przypadek tylko zdarzył, żem dalej pojechał — i tylko przypadek zdarzył, żem drogę moją na Wiedeń obrócił. To wszystko zostało postanowionem dopiero w Krakowie, skutkiem narady, odbytej pomiędzy mną a Komisarzem Naczelnym, której był przytomny L. W. a o której wiedzieli P. G. i Z. R. Poczem 6. Grudnia wyjechałem istotnie do Wiednia: a że wyjechałem w celach nie swoich, ale publicznych, to nie może żadnemu ulegać wątpieniu, po na to są powyżsi żywi świadkowie i na to mam w ręku dowody pisemne: kwit na otrzymane i powrócone w Wiedniu pieniądze i list L. W. To tedy jest rzeczą jasną, że Hr. Mensdorff, donoszący dnia 2. Grudnia Ministrowi policyi, że ktoś jedzie do Wiednia, donosił to o kimś innym, ale nie o mnie; bo o mnie nie mógł jeszcze naówczas wiedzieć, że pojadę do Wiednia, jak skoro ja sam dowiedziałem się o tem dopiero 6. Grudnia. Depesza ta zatem już z tego jednego powodu nie mogła odnosić się do mnie.

Lecz oprócz tego, pytam się jeszcze, jakiem prawem sąd mógł tę depeszę z tego powodu odnosić do mnie, że ja podówczas pojechałem do Wiednia? Jeżeli sąd przyjął tę depeszę za autentyczną i chciał sprawiedliwie postąpić, to powinien był zwrócić swoją uwagę na wszystkie osoby, które wówczas jechały do Wiednia. A gdyby był to zrobił, to bylby się dowiedział, że w pierwszych dniach Grudnia wiele innych jechało do Wiednia; co większa, bylby się dowiedzial, że dnia 6. Grudnia, jednym pociągiem ze mną i P. G. i Z. R. jechali także do Wiednia.

Co do drugiego dowodu, wyprowadzonego z szyfrowanej karteczki, to mógł on być tylko chyba domysłem, ale nigdy dowodem. Karteczki tej bowiem nie zdeszyfrowano. Widziano tylko na niej dziesięć znaków szyfrowych, to jest, liczbowych. Klucza do nich nie miano. Zauważano tylko, że jedna szyfra się powtarzała dwa razy. Wymyślono stąd, że szyfra ta znaczy literę *k*, która się w mojem nazwisku dwa razy powtarza. Ależ w mojem nazwisku litera *k* powtarza się trzy razy: więc i ten znak powinien był się powtarzać trzy razy. Odpowiadano na to, również z domysłu, że na głoskę podwójną *sk* jest zapewne znak inny. Lecz dajmy na to: że na dwie liter *sk* była istotnie tylko jedna szyfra: a to w takim razie z pewnością nie moje tam było nazwisko, bo wtedy do wyszyfrowania mego nazwiska potrzeba było tylko dziewięć szyfer — a tam było ich dziesięć. Wszakże o kluczach w ogóle i policya i sąd, jak się okazuje z tego procesu, ani nawet pierwiastkowych pojęć nie miały.

Żaden z rządów europejskich nie używa już od dawna i bardzo dawna kluczów szyfrowych, tylko xiążkowych. Rząd Narodowy Warszawski, tak jeszcze młody i niedoświadczony, używał także we wszystkich korespondencyach ważniejszych tylko kluczów xiążkowych. Jeżeli zaś jest jeszcze jaki rząd w Europie, używający do rzeczy mniej ważnych kluczów szyfrowych, to klucze te nie są z pewnością tak pierwiastkowej prostoty, ażeby każda litera tylko jeden znak miała a przeto ażeby się znaki musiały powtarzać. Przecież kiedyśmy jeszcze na ławach szkolnych bawili się w konspiracye i pisywali do siebie szyframi, tośmy już o tem wiedzieli, że klucz pojedyńczy, gdzie każda litera tylko jedną ma szyfrę, nie jest właściwie kluczem, bo właśnie dlatego, że szyfry się powtarzają, jest bardzo łatwym do zdeszyfrowania. Że takich kluczów nie używają dziś ani we Francyi ani w Austryi, gdzie policyjność doprowadzono do najwyższego stopnia doskonałości, to nie ulega żadnemu wątpieniu. W skutek bardzo mozolnie poszukiwanych informacyi, do których mnie właśnie ten proces zniewolił, mogę tu dodać, również jako rzecz niewątpliwą: że jeżeli w obudwóch tych państwach używają jeszcze niekiedy kluczów szyfrowych, nie-xiążkowych, to klucze te są tak układane, że znaczenie każdej szyfry nietylko od składu jej liczb zależy, ale także od miejsca, które z porządku zajmuje. Stąd idzie, że podług tych kluczów wprawdzie szyfry powtarzać się mogą, ale jeżeli się po-

wtarzają, to wtedy z pewnością nie te same, ale właśnie odmienne przedstawiają litery. To są fakta. Nie wyciągam z nich żadnych wniosków: ale ten wniosek jest niewątpliwy, że dziś szyfrowanej rządowej depeszy bez klucza zdeszyfrować nie można.

Jakoż istotnie karteczki tej nie zdeszyfrowano. Pozostał przeto tylko ten domysł, że ponieważ było dziesięć szyfer na tej karteczce, więc to nazwisko z dziesięciu składało się liter. Lecz jakże ten domysł był niedorzecznym i jak lekkomyślnym! A wszakżeż nazwiska obydwóch tych ludzi, którzy razem ze mną jechali do Wiednia, zawierają także po tyleż liter. P. G. (imie i nazwisko) to dziesięć liter — a Z. R. (samo nazwisko) to także dziesięć. Jak skoro tedy depesza nie powiada nic więcej, jak tylko tyle, że ktoś jedzie do Wiednia i jego nazwisko z dziesięciu składa się liter — a jechało nas jednocześnie trzech z dziesięcogłoskowemi nazwiskami: dlaczegóż ta depesza miała do mnie być odniesioną a nie do którego innego, albo do wszystkich trzech? —

Na podstawie tego pytania przecież nikt mnie posądzić nie zechce o taką śmieszność, jakobym zamierzał na kogokolwiek podejrzenia rozrzucać. Lecz nie mogę przemilczać faktów, bo te fakta dowodzą: że powyższa depesza mogła w najgorszym razie stanowić przeciwko nam wszystkim trzem podejrzenie, ale nie mogła przeciwko nikomu stanowić dowodu.

XXX.

Co do drugiej depeszy, przejętej na telegrafie, wspomniałem już wyżej, iż przypuszczam, że z telegrafu można było otrzymywać depesze. Ale także już wyżej spytałem, jakim sposobem tę depeszę zdeszyfrowano. Tu jeszcze raz to pytanie powtarzam — i odpowiadam, że na autentyczność przedłożonego sądowi przez narodową policyę depeszy tej textu żadnego dowodu nie miano, bo klucza nie miano.

Powiadano mi późniejszemi czasy w Paryżu, że jakiś klucz dostano w Wiedniu. Jednak opisy tego klucza różniły się między sobą: według jednych miał to być duży, błękitny i brudny arkusz papieru, zapisany szyframi; według drugich cała xiążka, podarta i obrukana, i w wielu miejscach nieczytelna. Dość wiedźieć tylko ten jeden szczegół, zgadzający się z sobą w obydwóch wersyach, ażeby powziąć przekonanie, że w każdym razie był to jakiś klucz stary, który już wyszedł z użycia i który dlatego właśnie można było otrzymać. Tych kluczów próbowano, ale wedle nich nic nie zdeszyfrowano. Nie mogło też stać się inaczej. Pytam się bowiem, jakim sposobem można dostać ten klucz, podług którego najwyższe władze korespondują ze sobą? Przecież to leży w naturze rzeczy, że klucz ten istnieje tylko w dwóch egzemplarzach, z

których jeden jest w rękach Namiestnika a drugi w rękach Ministra. Rospytywania osób wiarogodnych a do rządu przystęp mających przyniosły później nawet tę pewność, że te dwa egzemplarze klucza są zawsze pod wyłącznem tych obudwóch urzędników zamknięciem. Przypuściwszy tedy, że ten klucz z bióra Namiestnika wykradziono — a toż kradzież taka musiałaby się była wydać do jednej doby i zapewne z niemałym byłaby się wydała hałasem. Ale ani o takim hałasie nigdyśmy nic nie słyszeli, ani też utrzymywał ktokolwiek, że klucz wykradziono.

Na czemże się tedy opierał dowód, że ten telegram zdeszyfrowano? Oto na prostem zeznaniu telegrafisty, który, jak mówiono, długiem ćwiczeniem przyszedł do tego, iż się nauczył czytać klucz szyfrowy. W takim razie powinszować można albo temu telegrafiście potężnego dowcipu, albo tym ludziom, którzy mu uwierzyli, potężnej wiary. Taką wiarę mieć wolno konspiratorom; ale czy na takiej wierze powinien był się opierać sąd – i sąd w sprawie takiej, który miał sądzić o życiu lub śmierci człowieka?

Prócz tego, jeszcze jedno muszę postawić pytanie, pytanie ważne i decydujące jak każde z tych, które tu kładę. Jakim sposobem się stało że telegram szyfrowany zdeszyfrowano a owej karteczki z nazwiskiem niezdeszyfrowano? A przecież obadwa te dokumenty miały pochodzić wprost od osoby hr. Mensdorffa — i obadwa te dokumenty wyprawione były do osoby Ministra policyi. Czy hr. Mensdorff, do korespondencyi z jednym Ministrem, w odstępie tylko dni kilku, używał dwóch kluczów? — Z pewnością nie. Więc jedno z dwojga: albo miano klucz hr. Mensdorffa a wtedy byłyby obadwa dokumenty zdeszyfrowane; albo go nie miano a wtedy obadwa dokumenty deszyfrowano tylko na domysł oskarzycieli. Karteczki nie zdeszyfrowano: a więc i telegramu nie zdeszyfrowano.

To co do formy.

XXXI.

Przejdźmyż teraz do treści.

Treść pierwszej depeszy, wrzekomo na poczcie przejętej, nie jest niepodobną do prawdy. To w owych czasach mogło się zdarzyć, że ktoś oddawszy w poufnych z hr. Mensdorffem stosunkach niejakie usługi rządowi, jechał do Wiednia i miał zamiar widzenia się z Ministrem policyi.

Ale treść drugiej depeszy, telegraficznej, jest wprost niedorzeczna i całkiem niepodobna do prawdy. Z niesłychaną nieznajomością potrzeb, stosunków i natury austryackiego rządu ją wymyślono.

Wprost niepodobnem do prawdy jest przedewszystkiem to, ażeby hr. Mensdorff przekazywał Ministrowi policyi jakąś podobną summę do zapłacenia. Albowiem każdy Namiestnik i każdy Minister ma przeznaczony na tajne wydatki fundusz dyskrecyonalny, który mu zawsze wy-

starcza — a wystarcza dlatego, że zawsze nim tak rosporządza, ażeby mu wystarczył. W nadzwyczajnych wypadkach Namiestnik może zażądać, nie pieniędzy, bo te ma przecież zawsze w kasach krajowych pod ręką ale nowego kredytu: wszelako nigdy zajść nie może taki wypadek, ażeby którykolwiek Namiestnik assygnował jakiś wydatek do kassy Ministra policyi, jak do bankiera, i nigdyby Minister takiej assygnacyi z swoich funduszów nie wypłacił. Nie jest to w formach przyjęte, jest nieużywane, jest wprost niemożebne. O tem można się było dowiedzieć od pierwszego lepszego urzędnika — i sąd powinien był się o tem dowiedzieć.

Powtóre jakiż-to mógł być memoryał, za który rząd miał 4000 fr. zapłacić? co mógł taki kosztowny memoryał zawierać?

Taki memoryał mógł jedno z dwojga zawierać: albo jakieś ogólne uwagi i informacye bez wymienienia nazwisk i rzeczy; albo skład całej organizacyi z wymienieniem i nazwisk i rzeczy.

Za memoryał taki, któryby zawierał tylko same uwagi ogólne, żaden rząd na świecie, ani nawet turecki, nie da nikomu ani grosza. O tem wie każdy, ktokolwiek zastanawiał się bliżej nad machinami rządów i komu zarazem wiadomo, jak wiele takich memoryałów każdy rząd darmo odbiera a jak nisko sobie ceni każdy ruzum nieurzędowy.

Za memoryał zaś taki, w którymby były wymienione nazwiska osób i fakta, mógłby rząd wprawdzie zapłacić: ale gdyby ten memoryał, o jakim mowa, a który, jak z tych przypuszczeń wynika, musiałby był być już na pare miesięcy przedtem podany, był zawierał nazwiska i fakta, to przecież w styczniu jużby były musiały być jego skutki widoczne.

Te skutki musiały by były być tem pewniej widoczne dlatego, ile że wtedy rząd austryacki już nie pragnął nic wiedzieć li tylko dla wiadomości, ale z każdego doniesienia robił użytek, bo był już od dawna stanowczo zdecydowany, całą galicyjską organizacyę złamać i zniszczyć i nie dopuścić dalszego rozwijania się ruchu.

Toż powinienem tutaj powiedzieć wypraźnie, kiedy już o tem nadmieniać muszę: że gdybym ja był podał do rządu taki memoryał, w którymby były wymienione nazwiska i fakta, to nie ulega żadnemu wątpieniu, że z całej organizacyi i wiejskiej i miejskiej, z wszystkich członków Wydziału i Komisarzy, ze wszystkich Naczelników okręgowych, wojskowych i ich zastępców, nie byłaby ani jedna noga pozostała na wolnym świecie.

A przecież i wtedy i potem — kiedy mnie już od dwóch miesięcy mordowano podejrzeniami, oskarzeniami i trybunałami — cała organizacya istniała nienaruszona i cały ruch się rozwijał bez żadnej walnej przeszkody; żaden z członków Wydziału, Naczelników Okręgu i Komisarzy, z którymi ja właśnie byłem w najbliższych stosunkach, nie był pociąganym do odpowiedzialności: a kiedy we dwa miesiące potem, po zaprowadzeniu stanu oblężenia, zdawało im się rzeczą stosowną, nie na-

narażać dalej swojej wolności bez żadnego pożytku, to jedni jaknajbezpieczniej wyjechali za granicę, drudzy jaknajbespieczniej przysiedli w domu, i ani jednemu z nich — do zadziwienia całego świata i aż do obudzenia podejrzliwości w stronnictwie czerwonem — nie spadł ani włos z głowy.

Cóż-to mógł być za memoryał, który ja napisałem? —

Jakaż-to mogła być zdrada, którą ja popełniłem? —

A przecież o to, o sam czyn, o jego znaczenie, o jego doniosłość o jego skutki, powinien był sąd koniecznie i przedewszystkiem zapytać: bo gdzie niema czynu, tam niema winy — a gdzie niema winy, tam niema sądu.

XXXII.

Owo więc takie-to były te dwie depesze, które Narodowa policya przedłożyła sądowi i na których swe oskarzenia oparła.

Autentyczność tych depesz nie była dowiedzioną.

Związek pomiędzy niemi, jakoby się do jednej i tej samej odnosiły osoby, był tylko prostym domysłem.

Treść drugiej depeszy była już na pierwszy rzut oka niedorzecznem zmyśleniem.

Pierwsza z tych depesz mogła się jednakowem prawem do wszystkich osób odnosić, które pod owe czasy jechały do Wiednia.

Druga depesza, gdyby była prawdziwa, mogła się do wszystkich ludzi odnosić, którzy są w stanie napisać jakikolwiek memoryał.

A nadto wszystko jeszcze obydwie te depesze, gdyby nawet autentyczność ich była dowiedzioną, nie okazywały żadnego czynu, któryby był widocznym i sprawie publicznej szkodliwym.

Lecz sąd, mimo wszystko, przyjął obydwie depesze za autentyczne a czyn niewidomy za dokonany i za szkodliwy, i sądził.

I znaleźli się nawet sędziowie, którzy poszli na ślepo za denuncyacyą policyi, wymierzonej przeciwko mniemanemu sprawcy niewidomego czynu, i powiedzieli: że winien! —

Gdyby ich się dziś spytać: czego winien? — cóżby odpowiedzieli?

XXXIII.

Ale nie dosyć na tem. Oświećmy jeszcze tę sprawę światłem obszerniejszem, światłem ogólnem.

Jeżeli sąd zdecydował się na to, ażeby bez względu na brak dokonanego czynu, ze zbiegu kilku niedowiedzionych okoliczności, na

wiarę policyjnego donosu, ku zadośćuczynieniu podburzonej przez tęż samą policyę opinii publicznej, przyjąć przedłożone depesze za autentyczne; to jeszcze zawsze powinno było być obowiąskiem jego sumienia, przynajmniej odniesienie tych depesz do mnie poddać wszechstronniejszemu rozbiorowi i śledztwu. Jeżeli bowiem ktoś sądzi tylko ze zbiegu oboliczności, to powienien wziąć na oko wszystkie okoliczności, a nie tylko te, które przedstawia strona oskarzająca. Tu zatem należało koniecznie zapytać samejże policyi, zapytać władzy administracyjnej a przedewszystkiem mnie samego zapytać, czyli i kiedy i jakie podejrzenia lub oskarzenia wnosiła już przedtem przeciw mnie policya, i wszystkie razem w jednym zestawić szeregu.

Gdyby sąd był to zrobił, to wtedy ta w odosobnieniu tak bardzo uderzająca kwestya depesz przejętych byłaby mu się przedstawiła w zupełnie innym widoku — a może być, że nawet ten uprzedzony sąd byłby sam i bez mojej pomocy zrozumiał, jakim sposobem się to stać mogło, że się te depesze znalazły, i dlaczego odniesiono je do mnie.

Bo jakąż-to osobliwszą koleją wyrastały te podejrzenia i zamieniały się w oskarzenia, aż póki zdaleka zamierzony cel osiągniętym nie został!

Zestawny tutaj ten obraz.

Jeszcze w miesiącach Sierpniu i Wrześniu, kiedy żywioły policyjne zaczęły się skupiać, drzeć się o władzę z organizacyą białą i kiedy ja przeciw nim stanąłem otwarcie, znaleźli się rozmaite młokosy i nie-młokosy, którzy roznosili podejrzliwości przeciwko tym wszystkim, o których rozumieli, że stoją ich konspracyjnym zamiarom na drodze. Dla intrygantów, którzy swoje kabały przeciwko jednemu celowi wymierzyli, otworzyło się pole bardzo szerokie.

W miesiąm Październiku, jak tylko pierwsza wieść się o tem rozeszła, że we Lwowie ma być z ramienia Rządu Narodowego utworzonem bióro prasowe, mające nadzorować dzienniki, co większa, że ma być założonym dziennik, organ Rządu Narodowego, i że w dyrekcyi tych obojga przedsiębiorstw ja mam wziąć udział: intrygantom dotychczas luźnym przybyli sprzymierzeńcy tak silni, że tylko głucho dotychczas snute przeciw mnie podejrzenia stały się głośnemi a nawet usiłowały już na jaw wystąpić. Już bowiem wtedy postawiono straż w sieniach mojego mieszkania, która nibyto miała mnie nadzorować, lecz której celem było oczywiście tylko ujawnienie podejrzeń. Na reklamacyę moją straż zaraz zdjęto i zaparto się tego, jakoby odnosiła się do mnie. Powodów więc rzeczywistych do podejrzeń nie było: a oczywiście tylko o to chodziło, aby przeszkodzić powierzeniu mnie dyrekcyi bióra prasowego i założeniu przezemnie dziennika.

Czy sąd wiedział o tém? czy spytał o to policyi? — A przecież tu, nie gdzieindziej, jest główny węzeł a zarazem punkt wyjścia wytoczonych przeciw mnie wszystkich podejrzeń.

Dalej rozwija się już ta kabała trybem najnaturalniejszym wedle biegu wypadków i okoliczności.

Kiedym do Krakowa pojechał, przysłano za mną denuncyancyę, jakobym się tam udał w zamiarze porozumiewania się z p. Merklem, Prezydentem rządu — i zaraz zrobiono wniosek, ażeby mnie zabić.

Ba, ale ja pojechałem do Wiednia.

Jak tylko pojechałem do Wiednia, znalazła się zaraz depesza na poczcie, która mówi, że ktoś jedzie do Wiednia, ażeby się widzieć z Ministrem policyi.

Tego jeszcze wszelako nie dosyć. Bo trzeba przecież jakiegoś faktu, któryby mógł zdradę stanowić. Jakiżby tu fakt mógł być prawdopodobnym? Pisarz, więc coś napisał. Więc memoryał napisał. Nie podobna w depeszy określać, co ten memoryał zawiera; więc w dowód, że koniecznie coś szkodliwego zawiera należało dodać, że został zapłacony. Tym sposobem osięgnie się wszystko.

Otóż i cała historya! —

Nie jestem prorokiem, rzeczy przedemną zakrytych nie widzę, w nieudowodnione domysły nie wierzę: a przeto nie jestem w stanie wykazać dowodnie powodów i źródeł każdego z wyżprzytoczonych oskarzeń. Ale są rzeczy, których nie można niewidzieć.

A to przecież aż nadto widoczne, że cały ten proces był tylko kabałą, zawikłaną, zamgloną i posuniętą zapewne daleko dalej, niżeli ją sami jej twórcy spoczątku posuwać zamierzali, ale mimo to wszystko, w obec sądu albo komissyi, z rozumnych i sumiennych ludzi złożonej, nietrudną do rozwikłania i wyjaśnienia.

XXXIV.

Cała też rzecz na tem polegała, ażeby taki sąd został jaknajprędzej zwołanym.

Wszelako, jak już wspomniałem powyżej, nadzieja ta coraz bardziej znikała.

Minęło ośm dni i dziesięć i więcej od mego przyjazdu — i nikt mnie o nic nie spytał.

Jeden członek Wydziału zniknął bez śladu; drugi wzruszał tylko ramiony, mówiąc, że zwołanie sądu nie do niego należy.

Naczelnik Okręgu protestował się jaknajwymowniej, że ma najlepsze chęci, że dąży do tego koniecznie, ażeby sąd mnie wysłuchał; ale sędziowie się obawiają, ażebym ich w złym razie nie zdradził.

Tak sprawę tę odwlekano z dnia na dzień.

Tymczasem wszakże agitacya zaczęła z każdym dniem coraz śmielej podnosić głowę.

To przychylne dla mnie wrażenie, które sam przyjazd mój sprawił na opinii publicznej, już prawie całkiem zepsuto.

Agitowano po kawiarniach, po restauracyach, po schadzkach tajemnych; nawet po zebraniach prywatnych zjawiali się kaznodzieje, którzy w okropnych kolorach malowali tę zdradę, ten cios niesłychany, jaki ja sprawie publicznej zadałem. Nie brakło nawet i takich biesiad wieczornych na których Naczelnikowi Okręgu i innym dygnitarzom organizacyi przy winie szampańskiem i tortach, niestworzone prawiono pochlebstwa, ażeby im tylko jaknajzupełniej rozgrzeszyć sumienie. A przytem i tu i ówdzie, równie niestworzone zmyślano plotki, któremi mnie obwieszano a których dążność ostateczna ta była: że chociaż może niemasz dostatecznych dowodów, chociażby wreszcie jeszcze zdrada dokonaną nie była, to zawsze kogoś potrzeba ukarać, potrzeba odstraszający postawić przykład, potrzeba bespieczeństwu sprawy publicznej poświęcić jakąś ofiarę — a tej ofiary już dzisiaj nie szkoda!

Widząc to wszystko, wytężyłem wszelkie siły, ażeby koniecznie doprowadzić do sądu.

Przyjaciele moi energicznie mi w tem dopomogali.

Przyparli jeszcze raz Naczelnika i członków organizacyi, odnieśli się do samychże sędziów, zaapelowali do wszystkich przywódzców opinii publicznej.

Wszystko napróżno.

W obec takiego oporu, który kazał mi się najgorszych domyślać zamiarów, zdecydowałem się nareszcie chwycić drogi pośredniej. Kiedy oskarzyciele nie mają odwagi zajrzeć mi w oczy a sędziowie mają tylko odwagę wydać na mnie wyrok zaocznie: to niech mi przedłożą zapytania na piśmie a ja odpowiem na nie na piśmie. I niech potem sądzą. Niech sądzi, kto chce. Zdaję się na ich sumienie.

Fr. X. A., jakkolwiek był bliższym organizacyi miejskiej, niż białej, a ze mną wiązały go tylko stosunki dawnej znajomości i zwykłej przyjaźni, jednak wzruszony taką niesprawiedliwością postępowania, sam podjał się tego pośrednictwa.

Ale i na to się nie zgodzono!

A wtedy już trudno było zrobić coś więcej.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać.

Nastąpiła cisza przez kilka dni; zdawało się już, jakoby ta cała sprawa zasnęła.

Tymczasem dnia 22. Stycznia, prawie w cztery tygodnie po moim przyjeździe do Lwowa, wpadł jakiś młody chłopiec do pokoju mego służącego, rzucił list na stół i uciekł.

Służący przyniósł mi ten list; otwieram, czytam — i wyczytuję zawiadomienie datowane dnia 21. Stycznia, opatrzone pieczecią Naczel-

nika Okręgu: że sąd, zwołany na mnie, uznał mnie „większością głosów“ winnym „przestępstwa przeciwko swemu własnemu narodowi“ i skazuje mnie na banicyę.

Nigdy dotychczas nie słyszałem o żadnej większości głosów; kazałem więc o to w stosownem miejscu zapytać. Odpowiedziano mi, że Naczelnik Okregu, jako prezes zaocznego sądu, dorzucił swój głos do głosu dwóch sędziów i tym sposobem utworzyła się większość.

Otóż i wyrok!

XXXV.

Rzućmyż teraz jeszcze raz okiem na zachowanie się takzwanej organizacyi białej w tej sprawie. Bo jużciż wydanie tego wyroku nie czerwonemu stronnictwu miałem do zawdzięczenia, które robiło tylko to, co robią wszystkie rewolucyjne stronnictwa na świecie, łamiąc i usuwając wszystkich swych przeciwników wszelkiemi środkami: ale miałem je do zawdzięczenia organizacyi białej, która, jako najwyższa naówczas władza prowincyonalna, miała cały kierunek tej sprawy w swych ręku, sama ją prowadziła i sama wreszcie ją zakończyła. Zestawmyż tu wszystkie jej kroki w tej sprawie w jednym szeregu.

Oto kiedy pierwsza denuncyacya na mnie do Krakowa przychodzi, Naczelny Komisarz i członkowie Wydziału widzą rzecz jasno i mówią: Niedorzeczność! plugawa jakaś kabała; jedź dalej.

Kiedy druga denuncyacya przychodzi, zastanawiają się nad nią. Widzą, że może się z tego wywinąć jakaś skandaliczna historya. Powracają mnie z drogi, postanawiają sąd złożyć, ażeby tę kabałę wyjaśnić i winnego ukarać. Dotąd wszystko w porządku.

Ale okazuje się w Wiedniu, że podróż moja do kraju w tych okolicznościach jest niebespieczną a przeto byłaby nierostropną. Ostrzegam ich o tem i żądam okiełzania wzburzonych namiętności. Żaboklicki to położenie uwzględnia i wydaje Naczelnikowi Lwowskiego Okręgu odpowiednie roskazy, na których wykonanie potrzeba około dziesięciu dni czasu.

Naczelnik Okręgu nie powstrzymuje podniesionej przeciw mnie agitacyi, która oczywiście sprawę naprzód przesądza; chwieje się przez dni kilka, kiedy nieocenioną jest każda godzina; przeznacza mi wreszcie termin przyjazdu; ja jadę.

Lecz tenże sam Naczelnik Okręgu, kiedy mnie jedną ręką wzywa, abym na sąd przyjechał, drugą ręką, w tym samym czasie, ulegając naciskowi policyi, zwołuje sąd zaoczny w tej sprawie. Pod tym samym naciskiem składa ten sąd niedorzecznie. Sąd sądzi, lecz nie wydaje wyroku; zapada równość głosów.

Ja przyjeżdżam do Lwowa, żądam stawienia siebie przed sądem: lecz niemam nawet z kim się rozmówić.

Naczelnik staje się dla mnie niewidzialnym.

Obadwa członkowie Wydziału usuwają się ile możności ze sceny.

Co gorsza, obadwa członkowie Wydziału, drząc przed narodową policyą i sądem, ażeby też i na nich co stąd nie spadło, wypierają się tego, że ja w sprawach narodowych wyjechałem z Krakowa, i przez to upodabniają jeszcze tem bardziej wzniesione przeciw mnie podejrzenia.

Z moim przyjazdem opinija publiczna zaczyna przecierać oczy. Głos publiczny powiada: „Gdyby był winien, toby był nie przyjechał.“ Naczelnik Okręgu się chwieje, przyznaje sam, że niemasz dowodów; lecz nie decyduje się na nic, tylko czegoś czeka.

Agitacya znów głowę podnosi; policya domaga się znowu wyroku.

Naczelnik niema odwagi, ani policyi nakazać milczenie, ani sąd zwołać. Lecz za to wpada na wykręt dyplomatyczny i posyła protokół zaocznego sądu Żaboklickiemu do rozstrzygnienia.

Żaboklicki nierozstrygnionej sprawy rozstrzygać nie chce, ale i instrukcyi formalnej wydawać nie chce; tylko posyła Naczelnikowi wyciąg z karnego kodexu, z którego wynika: że jeśli zdrada, to śmierć, a istnienie zdrady powinien sąd orzec — i każe się trzymać ściśle kodexu.

Otrzymawszy taką odpowiedź, Naczelnik znowu się na nic nie decyduje. Słucha i tych i owych, wyrozumiewa, nie rzecz, ale usposobienie opinii.

O zwołaniu sądu niemasz już ani mowy.

Naczelnik już nie ma odwagi przyjąć odemnie ani nawet odpowiedzi pisemnych.

Nareszcie kiedy policya, widząc takie pokorne usposobienie organizacyi białej, nowy nacisk wywiera: Naczelnik Okręgu daje sam kreskę za winą i wydaje, wbrew kodexowi karnemu i roskazowi Władz wyższych, wyrok usuwający mnie z kraju.

O to też tylko chodziło.

I wtedy wszyscy z tego kontenci. Policya narodowa kontenta, bo odniosła świetne zwycięstwo nad organizacyą szlachecką. Organizacya biała kontenta, że nie potrzebowała mnie kazać zabijać. Naczelnik kontent, że się dowcipnie z tej sprawy wykręcił. Członkowie Wydziału kontenci, że się dyplomatycznie usunęli ze sceny. Wszyscy oskarzyciele kontenci, że nie dochodzono ich oskarzeń gruntownie. I publiczność kontenta, bo miała widowisko bespłatne a zajmujące.

Dwóch tylko ludzi, dwóch rewolucyonistów agitujących nawet wśród rewolucyi tylko z ukrycia, od których głównie wychodziły owe kabały przeciwko mniemanemu stronnictwu klerykalno-arystokratycznemu, pozostaje niezadowolonych z takiego końca dramatu i podaje

skargę pisemną do Rządu Narodowego przeciwko wszystkim członkom wszystkich organizacyi, że nie kazali mnie zamordować. Znam ich nazwiska i treść ich skargi — i zachowuję oboje w wdzięcznej pamięci.

W kilka dni potem, oburzony tak niedorzecznem zakończenim tej sprawy, przyjeżdża Naczelny Komisarz z Krakowa z zamiarem przeprowadzenia tego procesu gruntownie i sprawiedliwie. Pociągnięty przezeń do usprawiedliwienia swego postępku, Szczęsny przyznaje otwarcie: że dowodów nie było — ale zarazem przyznaje z rospaczą, że w tem położeniu nie umiał inaczej postąpić. Zjawia się zatem w owej chwili znów dobra wola: ale brak należytej energii podsuwa uwagę, że już jest za późno. A kiedy za późno: to niech i tak będzie. Więc cisza. I nikt już o tem nie mówi, jak gdyby nic nigdy nie było....

XXXVI.

Bardzo mało już mam do powiedzenia, ażeby tego sprawozdania dokończyć.

Po doręczeniu tego wyroku miałem dwie drogi przed sobą: albo wbrew' wyrokowi zostać we Lwowie i założyć apellacyę do Rządu Narodowego; albo wyjechać i zrobić to samo za pośrednictwem najbliższej Ajencyi.

Chcąc się narażić na mniejsze lub większe awantury ze strony wzburzonej gawiedzi ulicznej, mógłem pozostać we Lwowie; nie sądzę bowiem, ażeby ktokolwiek był pragnął istotnie krwi mojej. Może się w tem myliłem, lecz takie miałem przekonanie. Wszelako zostawszy we Lwowie, niepodobna mi było stamtąd przesłać mojego Pisma do Rządu Narodowego. Jedyna droga do Warszawy prowadziła na ręce tych, na których właśnie miałem się skarzyć; po takich zaś przejściach już im ufać nie mógłem. Prócz tego nie chciałem wywoływać żadnych awantur, po których musiałyby były nastąpić aresztowania; nie chciałem w żadnym wypadku stawać się cudzego nieszczęścia powodem.

Wypadało mi zatem wybrać alternatywę drugą.

Jakoż następnego dnia założyłem pisemny protest do Naczelnika Okręgu przeciwko niesprawiedliwemu i besprawnemu wyrokowi — a we dwa dni potem wyjechałem do Wiednia, jako do najbliższego miejsca, w którem się znajdowała Ajencya Rządu Narodowego i skąd mógłem mieć pewną drogę do Warszawy.

W Wiedniu napisałem za pare dni apellacyę przeciwko wszystkim niesprawiedliwościom i besprawiom, jakich się przeciw mnie dopuszczono we Lwowie. W akcie tym powiedziałem mniej więcej to wszystko, co tutaj mówię — a w końcu wezwałem Rząd Narodowy:

najprzód, ażeby niesprawiedliwy i niedorzeczny wyrok Lwowski skasował;

a powtóre, ażeby na podstawie dokumentów i zeznań, które należy sprowadzić ze Lwowa, kazał sąd jawny i z bezstronnych sędziów złożony, zwołać w Paryżu, dokąd się bez zwłoki udaję i gdzie oczekiwać będę odpowiedzi.

Akt ten, datowany dnia 4. Lutego, wręczyłem ajentowi dyplomatycznemu w Wiedniu, który go też natychmiast kuryerem do Warszawy wyprawił.

Jeszcze podówczas był Traugutt w Rządzie, człowiek poważny, sumienny i pełen zacności, i tacy sami byli wszyscy, którzy z nim władzę dzielili; jeszcze się zatem można było spodziewać energii i sprawiedliwości.

Uspokojony tem przekonaniem, wyjechałem w kilka dni potem do Paryża.

XXXVII.

Przybywszy do Paryża w drugiej połowie Lutego, przesłałem przedwszystkiem do Ajencyi polskiej kopię apelacyi założonej do Rządu Narodowego i adres mojego mieszkania.

Ajencyę dyplomatyczną sprawował wówczas jeszcze tak samo, jak przez cały przeciąg powstania, X. Władysław Czartoryski — a Pełnomocnym Komisarzem Rządu Narodowego na całą zagranicę był Wacław Przybylski.

W kilka tygodni potem przyjechał do Paryża jeden z członków galicyjskiego Wydziału i przywiózł prywatnie wiadomość: że Rząd Narodowy wydał dekret, mocą którego wyrok wydany na mnie we Lwowie kasuje i roskazuje nowy sąd zwołać w Paryżu.

Dowiedziałem się jednocześnie: że Rząd Narodowy wyprawił ten dekret w dwóch egzemplarzach, jeden do Lwowa z roskazem posłania natychmiast do Paryża odnoszących się do tej sprawy aktów i dokumentów — a drugi do Wacława Przybylskiego do Paryża, z roskazem zwołania sądu.

Muszę też tutaj choć mimochodem zapytać: co zrobiono z tym dekretem Rządu Narodowego we Lwowie? — Wiem o tem, że wtedy już był zaprowadzony stan oblężenia w Galicyi i że Wydział galicyjski był pierwszym, który z swych krzeseł ustąpił. Ale wiem także, że był ktoś jeszcze wówczas we Lwowie, który znajdując się od kilku miesięcy w odstawce, pochwycił samowolnie ster władzy i dekret ten do rąk swoich odebrał. Cóż zrobił z tym dekretem? czy przysłał żądane pa-

piery do Paryża, które jeszcze wtenczas kędyś istniały? Dlaczegóż przynajmniej nie rozgłosił tego dekretu, tylko umyślnem go pokrył milczeniem? Czy było to zacnie, czy sumiennie, czy sprawiedliwie? — Lecz dajmy pokój takim pytaniom. Smutne to rzeczy! a jeszcze smutniejsze nasuwają wspomnienia.

Przybylskiego nie było pod ową porę w Paryżu. Wyjechał był wtedy do Włoch. Kiedy powrócił i odszukałem go w jego mieszkaniu po tamtej stronie Sekwany, przyjął mnie z uprzejmością prawie niespodziewaną,powiedział mi, że ta sprawa jest mu cokolwiek znaną i oświadczył mi se swojej strony jaknajszczersze nad nią ubolewanie. Wszakże z dalszej jego rozmowy dowiedziałem się tylko, gdzie się dekret Rządu Narodowego znajduje, co w sobie zawiera i że załatwienie tego procesu należy z prawa do X. Sapiehy.

XXXVIII.

Przeniesienie tej sprawy w ręce X. Adama Sapiehy, jakiekolwiek niegdyś pomiędzy nami zachodziły polityczne różnice, musiałem uważać za wypadek przynajmniej nie niepomyślny. Nowy Komisarz bowiem nie należał już wtedy do organizacyi, kiedy się ta sprawa toczyła, a przeto był w niej bezstronnym; powtóre, znał mnie dość zbliska i wiedział, że mam uczucia i przekonania, które dla mnie są święte; a wreszcie znał równie zbliska gniazdo agitatorów Lwowskich a stąd wiedział także, że tam częstokroć i takie agitacye bywają możebne, które nieznającym miejscowych stosunków mogą się zdawać wprost niemożebnemi.

Nad to wszystko zdawało mi się, że kto wielkiemi głoskami na swoim wypisał sztandarze: „*Mos et lex maculosum edomuit nefas*“, ten bez wątpienia za pierwszy obowiązek mieć sobie będzie, wygładzić *nefas* tak *maculosum*, jakiem wzgarda dla obyczaju i prawa przy tym właśnie procesie zanieczyściła organizacyę.

Ale były-to czasy, w których najlogiczniejsze wnioski się nie sprawdzały.

Nowy Komisarz, zapewniwszy mnie przy pierwszem widzeniu się naszem, że sprawę tę w myśl dekretu Rządu Narodowego niezawodnie zakończy, co do szczegółów tę tylko mi zrobił uwagę: że ponieważ Żaboklicki jest obecny w Paryżu, pod którego przewodnictwem ta sprawa prowadziła się w kraju, więc najlepiej będzie, ażeby on ją i tutaj prowadził. Nie miałem nic przeciw temu. Jakoż istotnie X. Sapieha delegował natychmiast Żaboklickiego do rospoczęcia tego procesu, a zarazem

zawezwał Karola Ruprechta, którego Rząd Narodowy mianował prokuratorem, ażeby poczynił stosowne kroki do dopełnienia tego urzędu. Żaboklicki zawiadomił mnie bez zwłoki, że delegacyę tę przyjmuje i sprawę rospoczyna; lecz Ruprecht nie przyjął urzędu prokuratora, oświadczając mi: że gotów jest przyjąć obowiązek obrońcy, jeżeli tego od niego wymagać będę, ale oskarzać mnie w żadnym wypadku nie będzie.

Znalazłem się tedy tutaj znowu w takiem samem położeniu, jak niedawno weLwowie, iż musiałem się sam prosić, ażeby mnie ktoś oskarzał i sądził. Ale ani prośby, ani że tak powiem, deptanie komisarzom po nogach, nie posuwało tej sprawy naprzód z taką szybkością, z jaką wszelkie tego rodzaju procesy przeprowadzane być winny. Tymczasem proces ten jeszcze naówczas, gdyby tylko było cokolwiek energii i dobrej woli, był bardzo łatwym do przeprowadzenia. Albowiem jeszcze naówczas istniały w Galicyi wszystkie odnoszące się doń papiery, które można było bez trudności sprowadzić. Podówczas jeszcze Szczęsny, były Naczelnik Lwowskiego Okręgu, bawił w Niemczech i mógł był do Paryża przyjechać. Gdyby było nawet papierów nie było, to było jeszcze w Paryżu takich członków organizacyi aż nadto, którzy te protokóły i akta kilkakrotnie czytali, którzy sami prowadzili tę sprawę — a przeto mogli złożyć jaknajdokładniej cały akt oskarzenia. Ażeby sprawę ile możności ułatwić, oświadczyłem Żaboklickiemu, że nawet przyjmę wszystkie kopie depesz za autentyczne, a poprzestanę tylko na dowodzie, że takowe nie mogły się do mnie odnosić.

Jakoż Żaboklicki wszedł w tę myśl zupełnie — i istotnie natychmiast zawezwał Szczęsnego, ażeby się stawił do Paryża. Ale kto się na wezwanie nie stawił, to Szczęsny — a nawet jak zniknął naówczas z Niemiec, tak i ślad jego zaginął.

Nareszcie w miesiącu Lipcu oświadczył mi X. Sapieha, że już prawie wszystko gotowe i że w najbliższy Piątek sąd się obędzie.

Ale — zaledwie pare najbliższych Piątków minęło, X. Sapieha został z urzędu Komisarza złożonym — a w jego miejsce stanął Jan Kurzyna.

Tak więc rozbiła się ostatnia nadzieja przeprowadzenia tego procesu w myśli i w formach przepisanych przez Rząd Narodowy.

XXXIX.

Już za czasów urzędowania X. Sapiehy, jak tylko uwięziono Traugutta i jego towarzyszy, potrzeba było potężnej wiary, ażeby wierzyć w Rząd Narodowy. Jakiś rząd tajny mógł jeszcze istnieć, to nie ulega wątpieniu; ale już nie był władzą, ani nawet powagą. Nominacya Kurzyny nie mogła mieć przeto żadnego zgoła znaczenia — i z

Kurzyną, jako z Komisarzem Rządu Narodowego, nie mógłem już mieć nic do czynienia.

Ale Kurzyna, jak mi się zdało i jak się wszystkim wówczas zdawało, był reprezentantem a mógł się stać przewodnikiem pewnego politycznego stronnictwa—a nadto, tego właśnie stronnictwa, które wniosło wszystkie przeciw mnie oskarzenia i które wywołało ten cały proces we Lwowie. Prócz tego miał on w swem posiadaniu odebrane po X. Sapieże a odnoszące się do tej sprawy papiery. Kurzyna mógł przeto, jeżeliby był miał wolę po temu, tę sprawę lepiej niżeli kto inny wyświecić, a przynajmniej znacznie się do jej wyjaśnienia przyczynić. Postanowiłem na każdy wypadek widzieć się z Kurzyną.

O moich wielokrotnych i długich rozmowach z tym głośnym niegdyś przywódzcą młodzieży, który mógł bardzo wiele politycznych popełnić błędów a nawet być sam uosobionym politycznym obłędem, lecz niemniej przeto był niecodziennem zjawiskiem, mógłbym całą xiążkę napisać; ale to tutaj nie należy do rzeczy. Wszelako muszę w ogólności nadmienić, że u tego czerwonego demagoga, który na samym wstępie powiedział mi z otwartością przedziwną: „że swego Lwowskiego więzie„nia nie zapomni nigdy w swem życiu, nie dlatego, że siedział za kratą, „ale że się w niem truł mojemi szlacheckiemi powieściami“, pomimo całej sprzeczności politycznych przekonań, znalazłem daleko więcej energii, dobrej wiary i dobrej woli, niżeli u wielu z tych, którzy podzielali w zupełności me przekonania i których miałem prawo przyjaciołmi nazywać. Kurzyna dochodził z całą wytrwałością i skrupulatnością wszystkich szczegółów tej sprawy i dla siebie ją niewątpliwie wyjaśnił; równie też niewątpliwą miał wolę naprawić tę krzywdę, jaką mi wyrządzono: ale to nie było dla niego możebnem, bo jego stanowisko, które trafnie rozumiał, nie było po temu.

To też po kilku miesiącach rozmyślań, narad i usiłowań, wyznał mi otwarcie, że w swojem położeniu nie może zrobić więcej, jak dać mi do wyboru trzy rzeczy, które jest gotów wykonać:

więc, albo odwołać się jeszcze raz do Rządu Narodowego po nową instrukcyę;

albo odesłać tę całą sprawę do władz narodowych podówczas istniejących we Lwowie;

albo wydać mi oryginał dekretu Rządu Narodowego i pasport do powrotu do kraju, i na tem tę sprawę zakończyć.

Działo się to już pod koniec jesieni roku 1864.

Wybrałem przeto z tych propozycyi ostatnią.

Jakoż Kurzyna doręczył mi wówczas oryginał dekretu Rządu Narodowego, który wyrok wydany we Lwowie kasuje — a zarazem wydał mi na mocy tegoż dekretu, jako też na mocy jakiegoś drugiego dekretu

Rządu Narodowego z dnia 5. Lipca 1864, którego nie znam, pasport do powrotu do kraju.

Dekret Kassacyjny Rządu Narodowego jest wydany za liczbami 287 i 292, datowany dnia 29. Lutego 1864, a opatrzony pieczęcią Rządu Narodowego i pieczęcią Przybylskiego, do którego był stylizowany.

Treści drugiego dekretu Rządu Narodowego z dnia 5. Lipca 1864 na który sie powołuje Kurzyna, nie znam dokładnie; widocznem jest tylko z powołania się, że jest to powtórna kassacya Lwowkiego wyroku.

Pasport wydany przez Pełnomocnika-Reprezentanta Rządu Narodowego jest datowany dnia 6. Grudnia 1864 i opatrzony jego pieczęcią i własnoręcznym podpisem.

Na tem skończyły się wszelkie urzędowe czynności w tej sprawie.

XL.

Po zakończeniu urzędowych czynności zabrały jeszcze głos emigracyjne dzienniki. Pierwsza odezwała się „Wytrwałość“, dziennik wydawany w Bruxelli a będący organem Kurzyny. „Wytrwałości“ odpowiedział „Głos Wolny“, dziennik Londyński. Obadwa te artykuły zamieszczam tutaj podług Londyńskiego dziennika.

GŁOS WOLNY. N. 57. Dnia 20. Grudnia 1864.

Jak stoi sprawa P. Zygmunta Kaczkowskiego?

„W Nr. 9. Wytrwałości czytamy następujące urzędowe zawiadomienie o niedoprowadzeniu sprawy p. Zygmunta Kaczkowskiego do należnego wyjaśnienia i rozstrzygnienia:

„Z kilku stron odebraliśmy zapytania, jaki koniec wziął proces przeciwko p. Zygmuntowi Kaczkowskiemu. Pragnąc szczegółowo odpowiedzieć na to pytanie, zwróciliśmy się do Władz Narodowych, i na zasadzie objaśnień otrzymanych od tychże, podajemy dzisiaj wiadomość, że wyrok sądu zwołanego w Lwowie przez b. Naczelnika lwowskiego okręgu, pod d. 21 stycznia 1864 r. p. Zygmuntowi Kaczkowskiemu doręczony, reskryptem Rządu Narodowego z d. 29. lutego r. b. za Nrem 287 i 292, z powodu iż był — jak się tenże reskrypt wyraża — „na podstawie zaocznego, bez prokuratora, i Bóg wie po jakiemu odbytego sądu“ wydany, został „jako nieprawny“ uznany i skasowany.“

„Czyniąc zadość żądaniu p. Kaczkowskiego, rozkazał zarazem Rząd Narodowy swemu ówczesnemu pełnomocnikowi p. Wacławowi Przybylskiemu, ażeby w celu ostatecznego wyświecenia i rozsądzenia tej sprawy „w pierwszej i ostatniej instancyi“, nowy sąd złożył w Paryżu, którego to

sądu prezesem zamianował tegoż pełnomocnika swego, a p. Ruprechta prokuratorem."

„Sąd ten jednakże z powodów bardzo potrzebujących usprawiedliwienia, ani przez p. Przybylskiego, ani przez jego następcę ob. Sapiehę złożonym nie został."

„Nie pierwszy to już raz dochodzi nas wiadomość o podobnem zaniedbywaniu rozkazów Rządu Narodowego przez tych dwóch kolejnych reprezentantów; zdaje się owszem, że ono było charakterystyczną cechą epoki, w której oni zostawali przy władzy. Zostawić kogo pod zarzutem, nie zrobić żadnego kroku w celu sprawdzenia winy lubu uniewinnienia, pomimo jego natarczywych nalegań, schować w kieszeń rozkaz wyraźny władzy mocodawczej, jest aktem, który trudno dość silnie potępić, dla tego, kładąc nacisk na to zaniedbanie obowiązków urzędowych, powołujemy winnych przed sąd opinii publicznej."

„Gdyby jakiekolwiek powody usprawiedliwiające to rozmyślne zaniedbanie wymiaru najprostszej sprawiedliwości żądającemu takowej istniały, pp. Przybylski i Sapieha, składając jeden drugiemu a następnie dzisiejszemu Reprezentantowi Pełnomocnikowi Rządu Narodowogo powierzoną im władzę, złożyliby także jakie podstawy i instrukcye mogące posłużyć do nowego podniesienia tej sprawy i odbycia formalnego sądu. Widać jednakże, że sprawę tę chciano puścić w niepamięć, gdyż oprócz wspomnionego reskryptu Rządu Narodowego nic więcej nie złożono, tak że dzisiejszy Reprezentant Rządu, mimo najusilniejszych p. Kaczkowskiego nalegań i najlepszej chęci z swej strony, był zmuszonym pozostawić sprawę do wyjaśnienia na miejscu, zaś p. Kaczkowskiemu doręczyć tylko reskrypt Rządu Narodowego w oryginale, i na mocy tego reskryptu wydać paszport dozwalający powrotu do kraju."

„Wytrwałość", — mówi dalej „Głos Wolny" — „oskarżając poprzednich pełnomocników Rządu Narodowego w Paryżu o zaniedbanie wymiaru sprawedliwości p. Kaczkowskiemu, nie spostrzegła się, że o to samo zaniedbanie obwiniła dzisiejszego Pełnomocnika Reprezentanta, który dopiero po 6 miesiącach urzędowania namyślił się poruszyć tę sprawę i to nie aby ją rozstrzygnąć według instrukcyi Rządu Narodowego zwołaniem sądu w Paryżu, ale aby obmyć od niej ręce i odesłać ją na miejsce, gdzie właśnie z powodu tajności i miejscowych uprzedzeń wydano wyrok, który Rząd Narodowy uznał za nieprawny. Nie znamy sprawy pana Kaczkowskiego i nie zamierzamy wyrokować, czy jest winnym lub niewinnym; ale postępowanie urzędników narodowych w tej sprawie naganiamy jako nacechowane największą lekkomyślnością i niesumiennością. P. Kaczkowski nie domaga się łaski ale słuszności, nie oczyszczenia ale prawnego sądu, złożonego z ludzi nieuprzedzonych, bezstronnych, którzyby wzięli na uwagę lekkość, z jaką u nas w kraju, a szczególnie w czasie ruchu, robią się zarzuty zdrady i szpiegostwa,

którzyby zważyli na szali cały żywot obwinionego, i na mocy niedostatecznych dowodów i świadectw, nie potępiali człowieka, który oddał znakomite usługi literackie ojczyznie i za jej miłość kilkokrotnie na więzienie a raz nawet na śmierć był skazany.

Korzystamy ze sposobności poruszenia sprawy p. Kaczkowskiego, aby przedstawić potrzebę ustanowienia stałego, niezawisłego Trybunalu w Emigracyi, któryby wszelkie wyroki, dorywczo, zaocznie i nieprawnie wydane, zrewidował, i przywrócił do życia przynajmniej te ofiary, które zawiść osobista lub fakcyjna moralnie zabić chciała.“

Na te obadwa artykuły odpowiedział Wacław Przybylski deklaracyą bardzo obszerną w „Ojczyźnie“, wychodzącej podówczas w Szwajcaryi. Żałuję bardzo, że deklaracyi tej ze względu na prawa drukowe obowięzujące w austryackiej Monarchii, w całości tu przedrukować nie mogę; zawiera ona bowiem cały wykład obowiąsków Komisarzy Rządu Narodowego, urzędujących w emigracyi, który zresztą nawet z tą sprawą niema bespośredniej styczności. Co do tej sprawy, Przybylski zgadza się zupełnie z zapatrywaniem się „Głosu Wolnego“ i „Wytrwałości“ a nawet, powtarzajac słowa „Głosu“, odnoszące się do mojej osoby, przyznaje niesprawiedliwość mnie wyrządzoną; lecz co do siebie usprawiedliwia się tem, że wyprawił był kuryera do Galicyi po akta tego procesu, ale zmieniony już wtedy stan kraju stanął sprowadzeniu ich na przeszkodzie, co nie powinno mu być poczytanem za winę.

Później już żadne z pism publicznych nie dotknęło tego procesu — a tak sprawa ta zakończyła się tym osobliwszym objawem: iż właśnie najskrajniejsze rewolucyjne dzienniki ujęły się niesprawiedliwości mnie wyrządzonej i zażądały dla mnie nie „oczyszczenia“, ale „słuszności“ — a ani którykolwiek z moich oskarzycieli nie wystąpił ze zdaniem przeciwnem, ani żaden z urzędników organizacyi białej nie usprawiedliwił naówczas postępowania, które określono publicznie jako „nacechowane największą lekkomyślnością i niesumiennością“. Te dziennikarskie odezwy były ostatnim w tej sprawie objawem publicznym.

XLI.

Jak każdy dramat głębszego znaczenia pociąga zwykle za sobą jeszcze jakieś dodatkowe odgłosy, które nie zmieniają już istoty głównego czynu, wszelako jeszcze dopełniają jego moralnego znaczenia albo uwidamiają jego następstwa: tak i ta sprawa nie obeszła się bez epilogu, którego tem bardziej nie chcę przemilczać, ile że wydaje on świadectwo, iż ludziom tym, którym zabrakło możności albo energii do skutecznego

działania, nie zabrakło przynajmniej później dobrych chęci do dopełnienia obowiąsków sumienia.

Świadectwo takie muszę przedwszystkiem imiennie wydać Żaboklickiemu, który jako Naczelny Komisarz galicyjski miał nad tym procesem zwierzchnią kontrolę i znał go we wszystkich szczegółach jaknajdokładniej a przeto, po rozbiciu wszystkich nadziei, lecz także po uspokojeniu wszystkich namiętności, pierwszy się poczuł do obowiąsku rospatrzenia raz jeszcze, ażaliby złe wyrządzone nie dało się gruntownie naprawić — i już w roku 1865 stosowne po temu kroki rospoczął.

Zamiar ten wkrótce oparł się o mnie.

Nie uważałem za rzecz mnie odpowiednią, usiłowanie to czynnie z mej strony popierać. Upominałem się ze stanowczością a nawet z natarczywością o sprawiedliwość, kiedy wiedziałem, u kogo upominać się o nią mam prawo: ale prywatne zamiary zdało mi sie zostawić usiłowaniom prywatnym. Odpowiedziałem jednak: iż, czy zasiądzie sąd czy komissya, z powszechnie poważanych obywateli złożona, czy choćby nawet przed zgromadzenie publiczne, gotów jestem stanąć każdej chwili i odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie ktokolwiekbądź z moich rodaków zechce mi postawić.

Narady nad tem, co i jak zrobić, trwały kilka miesięcy.

Wszelako nakoniec wszystkie zdania zgodziły się na to — a ja im zupełną przyznałem słuszność — że takie zakończenie tej sprawy, do jakiego ja słuszne mam prawo, w emigracyi na żaden sposób uskutecznić się nie da.

O zdarzeniach zapadłych w kraju, gdziekolwiekbądź się ci albo owi ich kierownicy chwilowo znajdują, tylko kraj sam może wydać wyrok stanowczy.

A przeto i ten zamiar ostatni rozbił się o powszechne spraw polskich rozbicie — a mnie przyniósł tylko to przekonanie: że z ustaniem współubiegających się z sobą o władzę narodowych i emigracyjnych urzędów, których walki wzajemne coraz-to nowe pożerały ofiary, i z uspokojeniem się stronniczych i koteryjnych namiętności, poświęcających zawsze i wszędzie sprawiedliwość swym interesom, prawda coraz śmielej i wyżej wybija się na wierzch — a wiec już wkrótce znajdą się ludzie, który będą mieli odwagę jawnie ją wypowiedzieć.

Jakoż i na tej drodze Żaboklicki zrobił krok pierwszy: bo właśnie kiedy kończę te xiążkę, otrzymuję od niego list własnoręczny, w którym były Komisarz Naczelny Rządu Narodowego, z własnego popędu i z głębokiego poczucia obowiąsku, oświeca mnie o powodach, dla których proces ten tak został przeprowadzonym i jakie on o tej sprawie ma przekonanie.

Dokładna znajomość wszystkich jawnych i tajnych szczegółów tego procesu, której Naczelnemu Komisarzowi zapewne nikt nie zechce

odmówić, przytem znaną powszechnie prawość charakteru a nawet rygorystyczna sumienność, którą jednogłośnie mu wszyscy przyznają, nadają temu listowi wagę dokumentu; dlatego też nie waham się go w całości tutaj zamieścić:

Paryż, dnia 4. Lutego 1866.

„Szanowny Panie!

„Sprawa dźwigającego się z ciężkiej niewoli narodu zastało mnie w tru„dnych zapasach z życiem realnem.

„Chwila dźwigania się z niewoli jak iskra wstrząsła cała moją istotą.

„Powoływany do różnych funkcyi narodowych, spełniałem takowe, nie „zawsze dobrze, lecz zawsze sumiennie i nieskazitelnie. Z kolei znalazłem się „w Galicyi. Roskazano mi pełnić obowiąski Komisarza Pełnomocnego. I tu, „jak dotąd, sumienie i uczciwość były dla mnie jedynemi skazówkami postę„powania. Sprawowałem urząd mój wedle możności i zdolności.

„Dziś, rzuciwszy chłodny wzrok na przeszłość moją, rachując się z „sobą, z czynnościami i wypadkami, zaatakowany jestem we własnem sumie„niu sprawą Szanownego Pana. Chociaż ówcześnie i ja i Wydział R. N. odda„liśmy cały przebieg tej sprawy ustanowionemu sądowi, należało być spo„kojnym i całą odpowiedzialność zostawić na sądzie; jednak głos serca i su„mienia silniej przemawia, łamie formy i prawa i staje przedemną nagi, dopo„minając się wyjaśnienia rzeczy.

„Ani oskarzenia, ani dowodów, przejrzawszy je tylko ówcześnie, szcze„gółowo nie pamiętam. Pamiętam tylko treść wyroku sądu Lwowskiego — „wyrok ten zostawiłem następcy mojemu w Krakowie d. 10. Marca 1864 — „który orzekł: że przejrzawszy dowody i oskarzenie, nie znalazł je dosta„tecznemi do orzeczenia wyroku. Jednak, zważywszy wyjątkowe okoliczności, „w jakich zostawaliśmy, gdzie trudno jest mieć oczywiste dowody a przeba„czenie podejrzanemu może sprowadzić ciężki cios na całą organizacyę na„rodową, orzekł winę Pańską, większością trzech przeciwko dwom głosom. „W tej większości był głos Naczelnika Okręgu.

„Wedle orzeczenia prawo zastosowano i wyrok Panu doręczono.

„Naczelnik Okręgu, badany przezemnie o istotnym stanie sprawy i „dlaczego sąd tak niedecydywnie i tak małą większością orzekł winę, oświad„czył: że i on nie miał istotnego przekonania, iżby wina była, a skłonił się „do zdania dwóch członków także tylko z uwagi na wyjątkowy stan czasu i „z obawy o organizacyę. Chciał więc, skłaniając się, wpłynąć na usunięcie „Pana z kraju.

„Oto istotny stan rzeczy.

„Z mej strony dodać mogę, że żaden z członków organizacyi, ani sa„maż organizacya w niczem do ostatnich czasów pobytu mojego w Galicyi,

„to jest, do 13. Marca 1864 nie były skompromitowanemi. Gdyby jednak „istotną prawdą było Pańskie przewinienie, choć po usunięciu go z kraju — „i zapewne tem więcej — powinniśmy byli uczuć skutki Jego działania. „Jednak, jak mówię, byliśmy spokojni do końca.

„Przesyłając Panu te uwagi, chcę ulżyć mojemu sumieniu. Użyj je „Pan wedle woli.

„Gdy Ci, Szanowny Panie, potrzebną będzie moja osoba, zawsze i „wszędzie stanę z orzeczeniem moich przekonań.

„Sądzę, że członkowie sądu, członkowie Wydziału i uczciwi obywatele „prowincyi, sumieniem poruszeni, powinni, sprawę tę jeszcze raz przejrzaw- „szy, orzec stanowczo: ażeby Ci wrócić możność spokojnej i uczciwej pracy „na niwie ojczystej.

„Rząd Narodowy ówcześnie i ja i cały kraj, mianowicie Kongresówka „bardzo dotkliwie uczuliśmy te zaskarzenia. Nazwisko bowiem Twoje, Panie, „dla prac i zdolności Twoich, nie do Ciebie należy; jest ono własnością ca- „łego kraju. Tem więcej też ja, tak go pojmując, czuję wielki ciężar odpo- „wiedzialności mojej. Tak go też czuć winni członkowie sądu owoczesnego, „członkowie Wydziału i wszyscy uczciwi Obywatele kraju.

„Kończąc, jedną prośbę śmiem przesłać dla siebie. Oto, wybacz mi, „Szanowny Panie! Wyrzuć z serca żal i gorycze, jakiemi ono przepełnione „być musi. A jeśli w życiu przebiegać będziesz myślą przeszłe chwile cier- „pienia Twojego, pamiętaj, w jakim czasie byliśmy i jak miłość sprawy i „obawa o jej powodzenie musiały nas robić drażliwemi i podejrzliwemi.

„Pełen szacunku i poważania.

Żaboklicki.

Zakończenie.

Owo więc taki był cały przebieg tej sprawy, która w swoim czasie tak wiele wywołała rozgłosu — o której każdy coś słyszał od kogoś, lecz której nikt nie zna w całości — a która przeto jeszcze do dziś dnia się błąka od węgła do węgła w najrozmaitszych postaciach, tu jako jakaś wieść głucha przywieziona z jarmarku, tam jako zajmująca anegdota powtarzana z złośliwym przysmakiem, gdzieindziej jako pradziadowska legenda opowiadana ze zgrozą na strój Targowicki.

Opowiedziałem ją tutaj od początku do końca z najsumienniejszą dokładnością, nie opuszczając żadnego faktu ani żadnej okoliczności, które służyły niegdyś do oskarzenia albo do upodobnienia winy, a pomijając bardzo wiele szczegółów takich, które mnie uniewinniają, i pomijając je tylko przez wzgląd na osoby, lubo one na mnie żadnego względu nie miały.

Wątpię też bardzo, ażeby ktokolwiek mógł jeszcze jaką okoliczność przytoczyć, któraby przeciw mnie mogła przemówić — a jestem przekonany najgłębiej, że żadnego z przytoczonych tu faktów nikt z ludzi sumiennych nie może opowiedzieć inaczej.

Opowiadając tę sprawę, sięgnąłem daleko dalej, niżeli oskarzenia przeciwko mnie wytaczane powszechnie sięgały; jest bowiem rzeczą pewną, przez wszystkich wyższych urzędników organizacyi jednozgodnie uznaną, że pierwszych źródeł w mowie będących oskarzeń, nie w denuncyacyach rewolucyjnej Policyi szukać należy, lecz w stanowisku zdawna przezemnie w obec stronnictwa agitacyjnego zajętem i moich tak literackich, jak politycznych sporach z temże stronnictwem staczanych.

A gdyby nawet w tych sporach dawniejszych nie leżały pierwsze początki oskarzeń, — co wszakże przy powołaniu się na świadectwa wyższych urzędników organizacyi da się dowieśdź dokumentami — to zawsze w tych sporach i w agitacyach już dawniej przeciw mnie prowadzonych leżą widocznie nie łatwo na innych drogach zrozumieć się dające powody, dla których oskarzenia, później przeciw mnie podniesione, mogły się tak łatwo przyjąć w uprzedzonej przeciw mnie już od dawna opinii publicznej.

Do sumiennego osądzenia tego procesu trzeźwe rospatrzenie tych okoliczności jest tak samo niezbędne, jak niezbędnem jest uwzględnienie całej mojej przeszłości, której zawsze bezinteresowne i zawsze w pierwszych szeregach widoczne, ośmnastoletnie poświęcenia, cierpienia

i prace, zadają oczywisty kłam wszystkim tym przypuszczeniom bezmyślnym, jakoby sprzedanie się za drobna garstkę zawsze mi obojętnych pieniędzy, lub przerzucenie się z jednego krańca najżywotniejszych przekonań i uczuć na drugi, było wypadkiem naturalnym i nie wymagającym koniecznie gruntownych i niezaprzeczonych dowodów.

Wytoczyłem tutaj publicznie tę sprawę w trzech celach:

najprzód ażeby wyrzucić ze siebie tę moralną truciznę, którą mnie napojono a która się w moim organizmie duchowym pod żadnym warunkiem nie może przyswoić;

powtóre, ażeby uczynić zadość słusznym wymaganiom tych wszystkich, którzy dobrą wiarą, zdrowym rozsądkiem i sumienością wiedzeni, w czasach najstraszliwszego zamętu mieli odwagę oddać cześć prawdzie i stanęli w mojej obronie;

a potrzecie, ażeby zniewolić kraj de trzezwego rospatrzenia się w tym procesie i podać mu sposobność do stosownego naprawienia tej krzywdy, którą w czasie wzburzonych do dna społecznych i politycznych namiętności mnie wyrządzono — a która w czasie powrotu społeczeństwa do spokojnego władania swemi moralnemi siłami nienaprawioną pozostać nie powinna.

Wolę zatruwający mnie jad tej choroby i sobie i moim oskarzycielom i całej opinii publicznej jeszcze raz rozmyślnie zaszczepić; wolę przejść jeszcze raz choćby najboleśniejszą krytyczną gorączkę: niżeli dopuścić, ażeby się ta choroba, choćby nawet złagodzona do najwyższego stopnia, zamieniła w chroniczną.

W rzeczach patriotycznego sumienia i imienia nie znam żadnych pośrednich odcieni. Znam tylko takich, którzy są gotowi wszystko dla ojczyzny poświęcić — i takich, którzy nic dla niej poświęcić nie chcą. Najsmutniejszą byłaby rola takich, którychby pozostawiono w tem położeniu, żeby pomimo najlepszych chęci nic więcej dla ojczyzny poświęcić nie mogli.

Wiem niestety! aż nadto dobrze, jakie się stosownemu i stanowczemu załatwieniu tej sprawy postawią przeszkody.

Społeczeństwo nasze przeszło przez tak głębokie i tak gwałtowne wstrząśnienia, jakich niewiele dotychczas zapisała historya. To nie była tylko insurrekcya, nie tylko narodowe powstanie; to była polityczno-społeczna rewolucya w najgłębszem tego słowa znaczeniu, dokonana w jednej połowie przez naród a dokończona w drugiej przez Rossyę.

Radykalny ten przewrot, jak wszystkie tego rodzaju przewroty, roschwiał, rosprzągł a nareszcie rostargał całą więź społeczeństwa we

wszystkich jej spójniach i węzłach. Był czas, i to niedawny, właśnie pod koniec narodowego powstania, gdzie wszystkie uczucia i przekonania, wszystkie obowiąski i prawa, osobiste i rodzinne, społeczne i religijne, oniemiały i znikły, w obec jednego tylko prawa, które dyktowała tajna władza powstania, i w obec jednego tylko obowiąsku, słuchania tej władzy. To posłuszeństwo żelazne, to wytężenie wszystkich sił moralnych ku jednemu tylko celowi, mogło mieć swoją wielkość polityczną; ale pod względem społecznym było ono najokropniejszą konwulsyą narodowego ciała, która musiała jego wszystkie ścięgna i stawy powykrzywiać, powypaczać, połamać. Społeczeństwo takie, które w patriotycznej rospaczy zdecydowało się słuchać władz tajnych, w którem w skutek tego mord polityczny był jednym z głównych środków agitacyjnych, które nareszcie do tego stopnia zdrętwiało, że śmierć człowieka nie wywoływała ani jednej łzy ludzkiej a męka ludzka ani jednego westchnienia — społeczeństwo tak wysilone i otrętwiałe, ani za rok, ani za lat pare, nie przywróci w swym organizmie naturalnego obiegu krwi i nie powróci do rozbudzenia w sobie tych wszystkich uczuć zacnych, pięknych, szlachetnych, które w dniach powszednich żywota są nietylko ozdobą, lecz także spójnią i siłą narodu, a bez których w dniach wielkich wysileń duch narodowy nie podniósłby się nigdy do wysokości ofiary. Po takiem wysileniu następuje zazwyczaj omdlenie, senność, apatya. Senność ta bywa częstokroć tak twardą że śród niej żaden głos ludzki nie znajdzie ucha, żaden jęk bolu nie docuci się serca, żaden grzech choćby powstający jak widmo nie rozbudzi sumienia.

Na ostatniem tle tego widoku malują się nawet jeszcze daleko ciemniejsze obrazy. Są społeszeństwa, rozbite gromami nieszczęść dziejowych, wyrzucone przemocą z kolei swego naturalnego rozwoju, uciskane rozmyślnie przemożnem brzemieniem, ażeby się w nich nigdy samorodne nie rozwinęło życie. Duch takich społeczeństw, lubo powolnie, jednak widocznie coraz bardziej omdlewa, więź ich moralna coraz się szerzej rosprzęga, wszystkie węzły coraz więcej wolnieją, siły twórcze nie wydają pożywnych owoców — a natomiast rosczyniające kwasy mnożą się ciągle i pożerają każde dobre nasienie, nim jeszcze zacznie kiełkować. Głównem tak rosprzężonych społeczeństw znamieniem jest, że w nich wszyscy są zawsze gotowi do wyrządzenia krzywdy bliźniemu — a niemasz nigdy nikogo do jej naprawienia. Są one jak czas, jak Saturn, który swe własne dzieci pożera: tylko że czas jest nieśmiertelnym — a społeczeństwa takie mijają. I nie potrzeba już na nie dalszych nieszczęść zewnętrznych, ani burz wielkich niszczących, ani wrogów zawziętych: bo jest już wtedy w ich własnem wnętrzu dosyć pierwiastków rozsadzających, aby się same strawiły.

Bez wątpienia, daleki jestem od tego, ażebym o naszem społeczeństwie tak myślał. Nie masz na jego moralnej istocie tego zatrważającego znamienia. Śród ustawicznych zapasów, wysileń i cierpień, mogą w niem chwilowo te albo owe uczucia zamiérać; lecz to uczucie, które stanowi jego niezwyciężoną żywotność, nie zamiéra w niem nigdy — a z niem budzą się wszystkie z kolei, które do życia potrzebne. Naród, rzucający się sam w swojej całości w ogień śmiertelnych zapasów, nie może śród walki oglądać się na to, gdzie, jak i kiedy upada ten albo ów żołnierz walczący; ale po bitwie skończonej, pogrzebawszy umarłych, rannych zaopatruje lekami a zdrowych zabiera w dalszą podróż ze sobą.

Co do mnie, jest dwa uczucia, które mi są zupełnie nieznane, a niemi są: zwątpienie i rospacz. Gdybym był kiedykolwiek zwątpił o sobie, gdybym umiał rospaczać, byłbym już dawno uwiązgł na tej ciernistej drodze, jaką mi los przeznaczył w tem życiu. Wszelako dotąd nie znam nawet spoczynku — a w każdem położeniu pozostaje we mnie przynajmniej tyle siły żywotnej, ile potrzeba do dalszej pracy i ruchu. Nie płonąłem elektrycznemi ogniami wtenczas, gdym widział, że się w nich palą siły narodu napróżno; lecz za to, gdy ognie pogasły, nie opadłem ani na jedną chwilę do martwej temperatury lodu. Kiedy niejeden z tych, którzy niedawno się nieśli wysoko i w wypiętrzone wierzyli nadzieje, z rospaczliwemi słowami na ustach: że wszystko przepadło! upadł na ziemię i leży do dziś dnia bez duszy; ja, chociaż obalony przez swoich, ja stoję. W czasach najsroższych klęsk narodowych i najsmętniejszych uczuć rospierających pierś moją nie popadłem ani na okamgnienie w bezwładność: a jeśli jeszcze kiedy głos dawny odzyskam, to pewnie nie poświęcę go grobom, ale kolebkom, nie cmętarnym litanijom śmierci, ale świeżym oddechom nowego życia.

Ale ażeby się to stać mogło, potrzeba koniecznie, ażeby ta nić wiążąca każdego mowcę, spiewaka, pisarza, z gronem jego słuchaczy, nić niewidoma, lecz od której zawisła cała donośność głosu a którą u mnie przecięto, została nawiązaną na powrót.

Upomnieć się o to drogą publiczną nakazały mi obowiąski wszechstronne; lecz obowiąski względem siebie samego nakazują mi tem upomnieniem całą tę sprawę z mojej strony zakończyć.

1180057083 PAd

150,—

UNIWERSYTET WROCŁAWSKI
Biblioteka Wydziału Prawa
74278
Egzemplarz udostępniany w czytelni